

Algis Budrys

# Cytadela

i inne opowiadania.

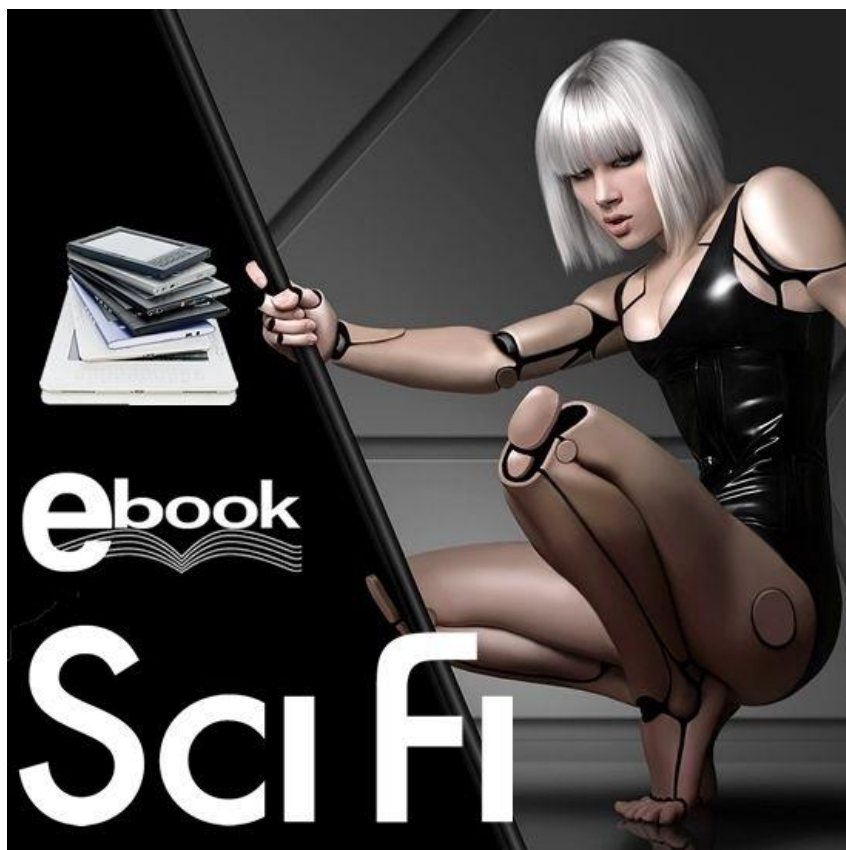
Ilustracje: H. R. van Dongen

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

## SPIS TREŚCI:

Cytadela.  
Bóg Ognia.  
Hymn skruchy.  
Nieść cywizację.  
Któż by niepokoił Gusa?

Algis Budrys jest pisarzem amerykańskim pochodzenia litewskiego, jak wskazuje niedwuznacznie nazwisko. Rozkwit jego twórczości przypada na okres od końca lat pięćdziesiątych do końca siedemdziesiątych. Napisał garść interesujących opowiadań i kilka ważnych powieści. „Who?” (Kto?) z roku 1958 mówi o wybitnym amerykańskim fizyku, który za granicą ulega wypadkowi i wraca zrekonstruowany przez Rosjan. Czy jeszcze jest sobą? Czy można mu ufać? A może został przekształcony w tajną broń? „Michaelmas” z roku 1977 jest przypowieścią o wszechmocy środków masowego przekazu. W niedalekiej przyszłości faktycznym władcą świata jest popularny dziennikarz telewizyjny, korzystający z pomocy superkomputera.





# Cytadela

(Citadel)

*Szukał odosobnienia, jakiego potrzebowała jego dziwna osobowość. I... wydawało się, że nigdy nie zdoła go osiągnąć. Wszystkie jego wysiłki stały się, w jakiś sposób, wielkimi tryumfami dla rasy i wielkimi porażkami dla niego!*

## I

**M**ocno spocony starzejący się mężczyzna, rzucał na wszystkie strony pośpieszne spojrzenia, nerwowo przyglądając się pozbawionym okien ścianom poczekalni biura. Na przemian, to siadał sztywno wyprostowany, na stojącym w rogu krześle, to wstawał i krążył niespokojnie, obracając nieustannie dookoła głową.

Kiedy Mead uściśnął mu rękę, była wilgotna od potu.

– Witam, panie Mead – przywitał się ochrypłym, wahającym się głosem, a jego oczy nie były w stanie nawet na chwilę spocząć w jednym miejscu. Niby patrzył Meadowi w twarz, ale rzucał wzrokiem to tu, to tam, a jego spojrzenie odbijało się za każdym razem od ścian, podłogi, sufitu i zamkniętych drzwi na zewnątrz.

Christopher Mead, asystent Podsekretarza Spraw Zewnętrznych, oddał uścisk, uśmiechając się zachęcająco.

– Proszę, niech pan wejdzie do mojego biura – szybko powiedział. – Tam będzie dużo bardziej przestronnie.

– Dziękuję, panu – z wdzięcznością odparł starszy człowiek i szybko przeszedł do następnego pomieszczenia. Mead pośpiesznie pootwierał okna i część nerwowości gościa, opadła z niego. Zatonął w stojącym przed biurkiem Meada fotelu dla gości, a jego oczy rozkoszowały się widoczną za oknami przestrzenią. – Dziękuję – powtórzył.

Mead usiadł za biurkiem, oparł się plecami o fotel, i czekał aż oddech mężczyzny nieco zwolni. W końcu powiedział:

– Miło mi pana znowu zobaczyć, panie Holliday. Co mogę dla pana zrobić?

Martinowi Hollidayowi udało się na dłuższą chwilę oderwać wzrok od okien. Popatrzył w twarz Meada, a potem spuścił oczy na ręce, które zbyt wyraźnie wcisnął w krocze.

– Ja... – Jego głos rozplynął się w niezrozumiałej chrypcie, i musiał zacząć jeszcze raz. – Ja, chciałbym uzyskać opcję na nową planetę – w końcu wykrztusił.

Mead skinął głową.

– Nie widzę żadnych przeciwwskazań. – Wskazał teatralnym gestem na mapę gwiazdną, pokrywającą jedną ze

ścian jego biura. – Z pewnością znajdziemy ich całe mnóstwo. Ale co się stało z pańską poprzednią?

– Tam, m-m-mi...

– Panie Holliday, z pewnością nie obrażę się, jeżeli będzie pan wolał patrzeć poza okno – szybko zaproponował Mead.

– Dziękuję panu. – Po chwili zaczął jeszcze raz. – Tam mi nie wyszło – wyznał, a jego spojrzenie przeskoczyło na chwilę na Meada, zanim ponownie powędrowało gdzieś za okno.

– Nie wiem, w którym miejscu pomyliłem się w swoich rachubach. To nie to, że w ogóle mi się nie udało. Po prostu... tak bywa. Miałem nadzieję, że będę mógł sprzedać wystarczająco dużo podudziałów, aby pokryć wszystkie opłaty i ciągle zostanie wystarczająco dużo miejsca dla mnie, ale mi się nie udało.

Szybko spojrzał na Meada, z błyskiem bezpodstawnej winy w oczach.

– Przede wszystkim, byłem zmuszony sprzedać więcej niż zamierzałem, ponieważ musiałem opuścić wyjściową cenę. Ktoś inny uzyskał również opcję na inną planetę w tym samym układzie, a ja nie brałem pod uwagę konkurencji. Ponadto, nawet kiedy pokryłem już cenę opcji i wystawiłem poręczenia na płatnościach, pojawiły się różnego rodzaju wydatki. Potem nie mogłem wydzierżawić praw do surowców... – Ponownie popatrzył na Meada, tak jakby musiał się przed nim usprawiedliwić. – Nie wiem w jaki sposób ten interes nie doszedł do skutku. Ta firma, po prostu... po prostu się wycofała, zupełnie nagle.

– Czy wydaje się panu, że mogło być w tym coś szczególnego? – spytał go Mead. – To znaczy... czy ta firma mogła ubić interes z kolonistami, za niższą cenę, kiedy już pana stamtąd wypchnięto?

Holliday szybko pokręcił przecząco głową.

– Och, nie -- nic takiego. Koloniści i ja, żyliśmy razem dobrze. To nie było tak, żebym oferował na sprzedaż tylko najgorszą ziemię, albo próbował samemu się na nich wzbogacić. Przecież, kiedy musiałem sprzedać część pozostałej mi ziemi i wiedziałem, że to co ocale, nie będzie już warte zachodu, aby tam dłużej zostawać, to niektórzy z nich oferowali się, że pożyczą mi wystarczająco ilość pieniędzy, abym mógł zachować dla siebie te pięćdziesiąt



tysięcy mil kwadratowych. – Uśmiechnął się ciepło, a jego oczy zrobiły się puste, kiedy skupił się na swoich wspomnieniach.

– Ale oczywiście, to było niemożliwe – mówił dalej. – Odzyskałem oryginalnie zainwestowaną przeze mnie kwotę. Ale nie mogłem im powiedzieć, dlaczego nie mogłem tam zostać. To z powodu ludzi... nawet jeżeli nigdy ich nie widywałem, wystarczyło pomyśleć o ludziach, o ich samolotach, raketach i drogach...

– Rozumiem, panie Holliday – powiedział Mead, usiłując oszczędzić mu zakłopotania.

Holliday popatrzył na niego bezradnie.

– Przecież nie mogłem im tego powiedzieć, nieprawdaż, panie Mead? To byli dobrzy, przyjaźnie nastawieni ludzie, którzy chcieli mi pomóc. Przecież nie mogłem im powiedzieć, że to chodzi o ludzi, czyż nie?

Zwilżył suche wargi i utkwiał wzrok w widoku poza oknem.

– Panie Mead, wszystko czego chcę, to połowa planety dla siebie – powiedział cichym głosem.

Pokręcił bezradnie głową.

– No dobrze, tym razem wszystko pójdzie dobrze. Tym razem, nie sprzedam tak wiele i będę miał wystarczająco dużo miejsca, by w spokoju spędzić ten czas, jaki mi pozostał, bez tego... tego... – Bezradnie machnął ręką, usiłując w ten sposób wyrazić, udręczoną świadomość swoich własnych lęków.

Mead pośpiesznie skinął głową, widząc jak rysy twarzy Hollidaya konwulsyjnie skrzęcają się w supeł.

– Oczywiście, panie Holliday. Przyznamy panu opcję na nową planetę, tak szybko jak tylko zdołamy to zorganizować.

– Dziękuję, panu – ponownie powiedział Holliday. – Czy moglibyśmy... czy moglibyśmy załatwić to dzisiaj? Przetransferowałem już swoje fundusze do miejscowego banku.

– Z pewnością, panie Holliday. Nie będziemy pana trzymać na Ziemi ani chwili dłużej, niż będzie to absolutnie niezbędne. – Wyjął z szuflady biurka standardowy formularz i podał go Hollidayowi do podpisu.

– Ty, razem będę mądrzejszy – stwierdził starszy człowiek, zdejmując skuwkę z pióra, tak jakby próbując

przekonać samego siebie. – Tym razem wszystko ułoży się lepiej.

– Jestem pewien, że tak będzie, panie Holliday – pokrzepił go Mead.

---

## II

**M**arlowe był niesamowicie otyły. Siedział za swoim biurkiem jak pozbawiony kłów lew morski, a jego obwisłe policzki przelewały się przez szczęki, zacierając linię szyi. Musiano zbudować dla niego specjalne biurko, tak by mógł wcisnąć pod nie uda. Fotel w jego biurze był dużo cięższy i szerszy, od jakichkolwiek standardowego rozmiaru, a pod kółka podłożono specjalną kompozytową wykładzinę, którą rozłożono na dywanie, ponieważ pod ciężarem Marlowe'a każda normalna tkanina podarłaby się na strzępy.

Na aparacie interkomu zamrugła żaróweczka i Marlowe automatycznie skierował wzrok na znajdujący się pod nią przełącznik.

– Sekretarka, bardzo szparka – wymamrotał pod nosem. Pstryknął przełącznikiem. – Tak, Mary? – Ze czeluści jego obwisłych piersi zahuczał potężny głos.

– Panie Sekretarzu, pan Mead właśnie złożył raport w sprawie Martina Hollidaya. Czy chciałby pan go przejrzeć?

– Daj mi krótkie streszczenie, Mary.

Pod nosem zaś wyszeptał: „Streść mi te koszmary, Mary” i kiedy słuchał, na jego wargach pojawił się leciutki uśmieszek.

– Dał mu Karlshaven IV, co? – zauważył, kiedy sekretarka skończyła. – O.K. Dzięki, Mary.

Przerwał połączenie i zaczął się zastanawiać. Gdzieś w trzewiach maszyny administracyjnej, jak wiedział, musiały teraz kręcić się trybiki, sporządzano różnego rodzaju notatki, wypełniano w rozmaitych biurach formularze. Należało dodać

Karlshaven do listy planet objętych kolonizacją, a ceny ziemi o które prosił Holliday, były zestawiane z danymi z Emigracyjnego oraz z prospektem opracowanym na podstawie danych Generalnego Biura Badań Galaktyki.

Ponownie połączył się przez interkom.

– Hmm... Mary? Prześlij mi kopię danych z GenBad, na temat całego układu Karlshaven. Powiedz panu Meadowi, że oczekuję na niego w moim biurze, dzisiejszego popołudnia -- wciśnij go gdzieś w terminarz -- i od razu popchniemy sprawę dalej.

– Tak, panie Sekretarzu. Czy może być piętnasta piętnaście?

– Piętnasta piętnaście jest całkowicie w porządku, ehemmm... Mary – łagodnym tonem stwierdził Marlowe.

– Tak, sir – odparła jego sekretarka, speszona. – Nadal zapominam o właściwej tytulaturze.

– Podobnie jak i ja, Mary, podobnie jak i ja – westchnął Marlowe. – Czy pojawiło się coś, co nie było na dzisiaj zaplanowane?

To było standardowe pytanie, rodzące się z próżnych nadziei. Zawsze pojawiało się coś, co rujnowało pieczołowicie ułożony rozkład dnia.

– I tak, i nie, sir.

Marlowe uniósł brew w stronę interkomu.

– No cóż, w takim razie, to musi być chyba jakaś bardzo niewielka zmiana. O co chodzi?

– Mamy pewnego obserwatora, politologa z Dovenil -- na naszych mapach to jest Moore II, sir -- który poprosił o pozwolenie na rozmowę z panem. Przyjechał do nas na normalny program wymiany, i taka prośba, oczywiście, zalicza się do jego przywilejów. Wydaje mi się, że chodzi o jakieś zwykłe sprawy -- jaka jest nasza polityka zagraniczna, w jaki sposób pan ją prowadzi, może pan mu przedstawić kilka konkretnych przykładów, i tego typu rzeczy.

Dokładnie, pomyślał sobie Marlowe. Na standardowe pytania należało udzielać standardowych odpowiedzi, a Mary była jego sekretarką już od tak długiego czasu, że mogła ich udzielić równie dobrze, jak on.

Dovenil. Moore II, co? Oczywiście w tej sytuacji musiało być coś specjalnego, skoro Mary pozostawiła tę decyzję

jemu. Przejrzał w głowie pamiętane katalogi gwiazd, próbując znaleźć jakieś związki.

– Panie Sekretarzu?

Marlowe chrząknął.

– Jestem, jestem. Tylko myślę. Czy Dovenil, to nie jest ten lud, do którego właśnie wysłaliśmy Harrisona?

– Tak, sir. W ramach tego samego programu wymiany.

Marlowe zachichotał.

– No cóż, jeżeli wysłaliśmy tam *Harrisona*, to jedynym uczciwym rozwiązaniem będzie pozwolić, aby ten gość w zamian czegoś się nauczył, nieprawdaż? Jak się nazywa?

– Dalish Ud Klavan, sir.

Marlowe zamruczał sam do siebie: „Dalish ud Klavan, Irlandczyk, wołowina i kapusta”. Jego umysł odłożył to na bok, razem z stereotypowym kolorowym obrazkiem zielonych łąk.

– No dobrze, Mary. Porozmawiam z nim, jeżeli znajdziesz gdzieś jakieś wolne miejsce w grafiku. Powiem ci coś, umów go na piętnastą trzydzieści. Mead i ja zmajsujemy dla niego jakiś roboczy przykładzik. Czy to pasuje, do twojego terminarza?

– Tak, sir. Będzie na to czas, jeżeli przeniesiemy sprawę wydarzeń na Ceronii.

– Ceronii czekali sześć lat, cztery miesiące i dwadzieścia trzy dni. Mogą poczekać jeszcze jeden dzień dłużej. Niech więc tak będzie, ehemmm... Mary.

– Tak, sir.

Marlowe przerwał połączenie i zagłębił się w raporcie, który zaczął wcześniej czytać przez system stron-bloku, jego oczy niemal nie mrugały podczas przeskoków stron.

– Harrison, co? – wymamrotał w pewnej chwili, przerywając czytanie, by żartobliwym wzrokiem popatrzeć na swój pulpit. Zachichotał.

O piętnastej piętnaście, światło na jego interkomie zamrugało dwa razy, i Marlowe pośpiesznie parafował prawą ręką kolejną dyrektywę, jednocześnie lewą naciskając na przełącznik.

- Tak, Mary?

- Pan Mead, sir.

- O.K. - rozłączył się wsunął dyrektywę do pudełka oznaczonego OUT, i wyciągnął dane z GenBad i teczkę Martina Hollidaya z przegródki HOLD.

- Wejść, Chris - powiedział, kiedy Mead zapukał do drzwi.

- Jak się pan dzisiaj czuje, panie Marlowe? - spytał Mead, siadając.

- O cztery uncje cięższy - sucho odparł Marlowe. - Przypuszczam, że ty, nie. Papierosa, Chris?

Najwidoczniej, kolejne użycie imienia, w końcu przyciągnęło uwagę Meada. Przez moment zdawał się zastanawiać, a następnie wziął papierosa i zapalił go.

- Dzięki... Dave.

- No dobrze, cieszę się, że to już jest ustalone - zachichotał Marlowe, a jego oczka niemal niknęły w fałdach ciała. - A jak tam Mary?

Mead uśmiechnął się krzywo.

- *Panna Folsom* jest dzisiaj w doskonałym nastroju, dziękuję,

Pomieszczenie wypełnił huk śmiechu Marlowe'a. Mead kiedyś popełnił ten błąd, zwracając się do niej „Mary”, przyjmując naturalne założenie, że jeśli Marlowe może to robić, to wszyscy inni również mogą.

- Mary, jak się obawiam - zauważył Marlowe, - żyje w dużo bardziej statecznym świecie niż dzisiejszy. Toleruje nieformalne zachowanie z mojej strony, ponieważ jestem jej bezpośrednim przełożonym, nie biorąc oczywiście pod uwagę, że najbardziej bezpośrednim jej przełożonym jest Prawo. Ale ty, Mead, jesteś tylko młodym drapichrustem.

- Ale, to jest całkowicie bez sensu! - zaprotestował Mead.

- Używając jej imienia, nie miałem zamiaru okazać jej braku

szacunku... to, po prostu... tylko życzliwość i sympatia, to wszystko.

– Posłuchaj – powiedział Marlowe, – to ma sens, ale nie jest logiczne... a przynajmniej nie w taki sposób jak ona rozumie te sprawy. Mary Folsom dorastała pod autorytarną władzą wielkiego, silnego, surowego ojca, który wierzył w wychowywanie dzieci zgodnie z regułami porządku. Do czasu, kiedy wyrwała się na świat, wszyscy wielcy mężczyźni stali się niekwestionowanymi autorytetami, a wszyscy młodzi mężczyźni lekkomyślnymi drapichrustami. Pewnie, że ona jest z tego powodu nieszczęśliwa, gdzieś tam w głębi duszy. Ale właśnie to, czyni ją dla mnie doskonałą sekretarką, a ona dobrze wykonuje swoją pracę. Co do małych rzeczy, gramy zgodnie z jej regułami, a co do dużych, zgodnie z regułami świata. Kapujesz?

– Pewnie, Dave, ale...

Marlowe wziął teczkę Hollidaya, i zanim ją otworzył, posłał Meadowi ciężkie, ale pełne zrozumienia spojrzenie.

– Twój problem polega na tym, że prezentowany przez ciebie punkt widzenia jest fundamentalnie zdroworozsądkowy – stwierdził. – Teraz przejdźmy do niego. Martin Holliday, opcje 062-26-8729, 063-108-1004. Nie miałem czasu, aby przeczytać dane GenBad, dotyczące planet Karlshaven, a więc prosiłbym, żebyś mnie trochę w to wprowadził.

– Tak jest, sir.

– Jak wygląda ta IV?

– Dobra, orna ziemia. W niektórych miejscach trochę górzysta, ale to dobrze. Wyładowana minerałami -- materiały przemysłowe, jak srebro. Trochę cyny, ale nie na tyle dużo, by zachwiać standardem monetarnym. Mnóstwo miedzi. Pokłady węgla, złoża ropy naftowej. Praktycznie od samego początku powinna sama się utrzymać, a za jakieś pięćdziesiąt – sześćdziesiąt lat będzie dla Unii naprawdę klejnotem.

Marlowe skinął głową.

– Dobrze. Niezły wybór, Chris. A teraz... masz już przynętę?

– Tak, sir. Karlshaven II należy do klasy Fałszywa-E. Już przygotowuję na nią sztuczną opcję, i będziemy w stanie

ściąć ceny Hollidaya na jego ziemię, mniej więcej o dwadzieścia procent.

- Fałszywa-E, co? Jak liczysz, ile czasu trzeba, zanim kolonia nie będzie mogła tam już dłużej wytrzymać?

- Kolonia na solidną skalę, o dobrym wsparciu finansowym, mogłaby nawet usadzić się w tym miejscu na stałe. Ale nie uda nam się znaleźć tak wielu obiboków, no i naturalnie nie możemy dać im aż tak wysokich subsydiów. W końcu będziemy musieli ich wszystkich stamtąd powywozić –  
- powiedzmy po jakichś ośmiu latach. Ale to daje nam dostatecznie dużo czasu na złamanie Hollidaya.

Marlowe ponownie skinął głową.

- Brzmi nieźle.

- Jest jeszcze coś – powiedział Mead. – II jest uboga w minerały. Tak właściwie, to niemal bryła litego metalu. Przez to, prawdę mówiąc, nie nadaje się ona do życia, ale wymyśliłem sobie, że może uda nam się przerzucić zainteresowanie przedsiębiorstw surowcowych bezpośrednio na nią, i odciągnąć je z IV.

Marlowe wyszczerzył zęby z aprobatą.

- Chyba konserwowałeś to wszystko specjalnie dla Hollidaya?

- Tak, sir... – odparł Mead, powoli potakując głową. Spojrzał z wahaniem na Marlowe'a.

- Co się dzieje, chłopcze?

- No dobrze, sir... rozpoczął Mead, ale przerwał. – Nic ważnego, naprawdę.

Malowe obdarzył go zaskakującym spojrzeniem, pełnym smutku i zamyślonego zrozumienia.

- Uważasz go za starego, wystraszonego człowieka, i myślisz, że dobrze byłoby zostawić go w spokoju?

- No cóż... tak, sir.

- Dave.

- Tak, Dave.

- Masz zupełną rację. Dlaczego więc nie?

- Nie możemy, sir. Dobrze o tym wiem. Ale to wydaje się takie nie fair.

- Dokładnie, Chris. To nie jest dobre, ale to jest niezbędne.

Światelko na interkomie Marlowe'a, zamrugało jeden raz. Marlowe spojrzął na nie, z chwilowym zaskoczeniem. Potem rysy jego twarzy wygładziły się, i wymruczał „Kapusta”. Sięgnął ręką do przełącznika.

– Mamy gościa, Chris. Rób to co ja. – Kiedy dotykał przełącznika, przejrzał swoje informacje o systemie tytularnym Dovenilidów. – proszę poprosić pana ud Klavana, żeby wszedł, ehemmm... Mary.

---

## IV

**D**alish ud Klavan był niemal kalką wizerunku typowego Dovenilida, z biblioteki Marlowe'a. Ponieważ obrazki były zazwyczaj idealizowane, oznaczało to, że ud Klavan był, pomiędzy swoimi rodakami, osobnikiem powyżej średniej. Mierzył pełne osiem stóp, od ziemi, do czubka grzebienia, i jeszcze nie zaczął pogrubiać podeszew swoich butów, aby wyrównać lekkie przygarbienie, które w przypadku jego rasy cechowało przejście do wieku średniego.

Marlowe przyglądając się mu, uśmiechnął się w duchu. Żaden Dovenilid nie mógł nosić się z taką oczywistą wyższością, i być ciągle tylko skromnym studentem. No cóż, biorąc pod uwagę kwalifikacje Harrisona, nadal prawdopodobnie nie można było tego określić, jako piękne za nadobne.

Mead zaczął wstawać, i Marlowe pośpiesznie postawił nogę na wierzchu jego bliższej stopy. Asystent skrzywił się i przygryzł wargi, ale przynajmniej spokojnie siedział dalej.

– Dalish ud Klavan – Dovenilid wymówił to w poprawnym angielskim.

– David Malowe, Sekretarz Spraw Zewnętrznych, Unii Solarnej – odparł Marlowe.

Ud Klavan popatrzył wyczekująco na Meada.



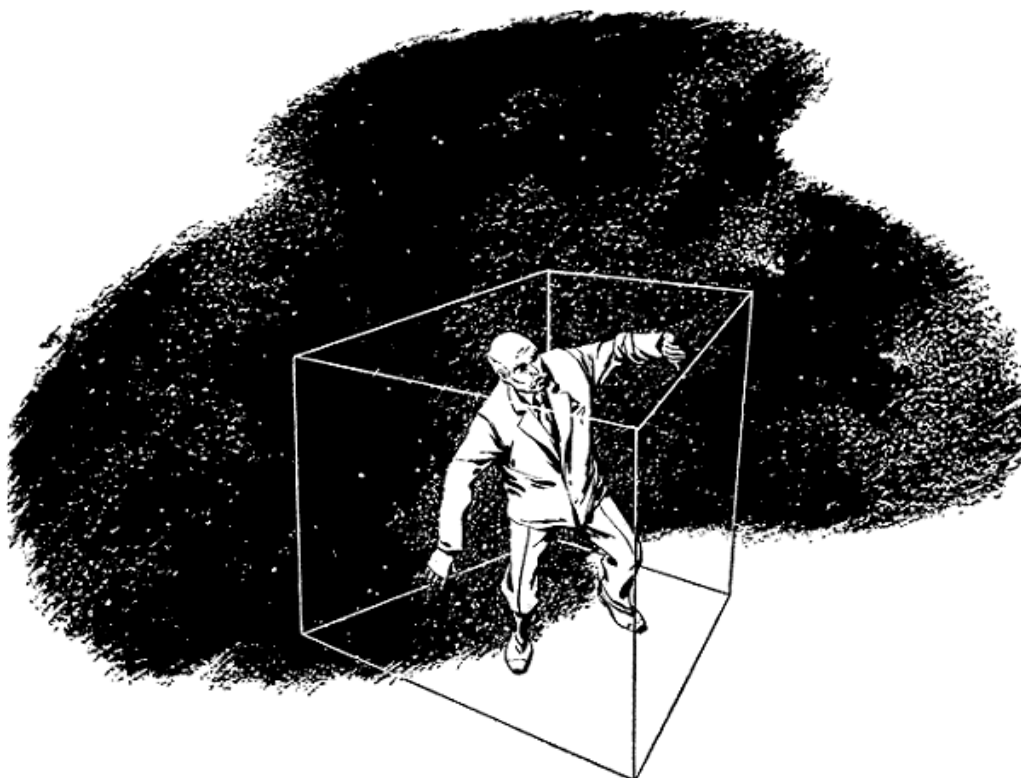
- Christopher Mead, Asystent Podsekretarza Spraw Zewnętrznych – przedstawił się asystent, zorientowawszy się o co chodzi.

- Czy mógłby pan wyrządzić nam ten zaszczyt i pozwolić nam na powstanie – grzecznie spytał Marlowe.

- Wręcz przeciwnie, Marlowe. Gdybym to ja mógł prosić o zaszczyt pozwolenia na to aby usiąść, uważałbym to za prawdziwe wyróżnienie.

- Proszę bardzo. Panie Mead, proszę podać naszemu gościowi krzesło...

Na kilka kolejnych minut, zatopili się w formalnościach. Marlowe zachowywał się z pedantyczną poprawnością. Mead podążał za nim przez labirynt grzecznościowy Dovenilidów, najlepiej jak tylko potrafił. W końcu mogli przejść do ważniejszych spraw. Ud Klavan rozsiadł się z widoczną wygodą, na pieczołowicie zaprojektowanym siedzeniu, które mogło być dostosowywane do nieomal wszystkich kształtów. Potężna postać Marlowe'a, wznosiła się spoza biurka, a Mead siedział, nieco nerwowo, obok niego.



- Tak więc, jak rozumiem, panie ud Klavan - zagaił Marlowe, - chciałby pan się czegoś dowiedzieć, o naszej polityce i metodach jej prowadzenia.

- To prawda, panowie. - Dovenilid wyciągnął z płaskiej saszetki, wiszącej u jego boku, bloczek z jakiegoś nieprzezroczystego materiału i rozłożył go na kolanach. - Czy mogę robić notatki?

- Proszę bardzo. No dobrze, akurat tak się przydarzyło, że pan Mead i ja, analizujemy właśnie pewien przypadek, który doskonale ilustruje naszą politykę.

Ud Klavan natychmiast nakreślił na stronie bloczka notatnika, linijkę jakichś znaczków ideograficznych, a Marlowe zaczął się zastanawiać, czy on naprawdę miał zamiar zapisywać tak dosłownie całą ich rozmowę. Wzruszył w myślach ramionami. Będzie musiał go zapytać, kiedyś w najbliższych dniach, czy czegoś nie przegapił. Pewnie mogłoby to oszczędzić nieco taśmy na nagranie, które robił on sam.

- Aby od czegoś zacząć: Jak pan wie, nasz rząd opiera się na zasadzie ekstremalnej wolności osobistej. Nie mamy żadnych arbitralnych praw, rządzących osobistą ekspresją, wyznaniem religijnym, posiadaniem broni osobistej, czy też prawem do prywatnej własności. Państwo jest skonstruowane, jako mechanizm złożony z instytucji użyteczności publicznej, obsługiwanych przez Ciało Polityczne, a rzeczywista regulacja społeczna i narzucanie ograniczeń, osiągnana jest na drodze praw socjoekonomicznych, które, oczywiście, są zarówno uniwersalne, jak i niezawodne.

- Szczycimy się wysokim statusem jednostki, w porównaniu z ledwie tolerowanym istnieniem państwa. Oczywiście, że mamy pewne nakazy i ograniczenia, dotyczące przestępstw, ale nawet one są zazwyczaj zastępowane przez działanie obywatelskie na poziomie osobistym.

Marlowe lekko nachylił się do przodu.

- Odkładając na chwilę na bok, dokładną literę prawa, panie ud Klavan, zdaje pan sobie sprawę z tego, że czasami odstajemy od ideału. Nasi obywatele, na przykład, nie noszą przez cały czas broni, poza jakimiś sytuacjami nadzwyczaj

nych warunków. Ale to jest raczej wynikiem zakazów społecznych, a nie ustalonego prawa konstytucyjnego. Nie mam wątpliwości, że jakieś przyszłe pokolenia, w wyniku zmian obyczajowych, mogą ożywić, dla przykładu, *code duello*.

Ud Klavan skinął potwierdzająco głową.

- W pełni zrozumiałem, dziękuję panu, Marlowe.

- Dobrze. Idźmy więc dalej. W warunkach, takich jak te, państwo i jego agendy, *nie mogą* polegać na żadnego rodzaju ustalonej polityce, i oczekiwać, że będzie ona co najmniej trwała. Ludzie nie będą tolerować takiego rozwiązania. Dlatego przy każdej nowej zmianie w obyczajach społecznych -- a instytucja jakiegokolwiek polityki, jest sama z siebie wystarczająca, by w ciągu krótkiego okresu czasu, taką zmianę wytworzyć -- kolejne polityki muszą być przez Ciało Polityczne uchylane, a w ich miejsce ustanawiane muszą być nowe.

Marlowe odchylił się do tyłu, i rozłożył ręce.

- Dlatego właśnie - stwierdził ze smutnym uśmiechem, - uczciwie można powiedzieć, że *nie mamy* żadnej polityki zagranicznej, w efektywnym tego słowa znaczeniu. Korzystamy z doraźnych środków zaradczych, panie ud Klavan, i mamy nadzieję, że skończy się jak najlepiej. Przypadek, który pan Mead i ja, obecnie rozważamy, jest tego typowym przykładem.

- Unia, jak pan wie, utrzymuje Generalny Korpus Badawczy, którego zadaniem jest sporządzanie map galaktyki, badanie takich planet, jak te stanowiące ostoje obcych ras, albo zdające się nadawać do kolonizacji przez ludzi. Taki właśnie zespół badawczy, na przykład, jako pierwszy nawiązał kontakt pomiędzy pańskim narodem i naszym. Wypracowano zasady wymiany informacji i stworzono możliwości przedstawicielom obydwu ras, do zaznajomienia się ze społeczeństwem przeciwnej strony.

- Jednakże w przypadku planet niezamieszkałych, a nadających się do życia, funkcja państwa kończy się, z chwilą wykonania kompletnych i ściśle określonych badań, złożonych w podministerstwie Emigracji. Państwo jako takie, nie sponsoruje żadnych kolonii, nie zakłada żadnych osiedli, poza kilkoma bazami przystankowymi, utrzymywanymi na

potrzeby Korpusu Badawczego. Jak do tej pory, nie stwierdziliśmy żadnych potrzeb, motywujących istnienie instytucji bardziej agresywnych służb, w rodzaju armii planetarnych. Nie spodziewamy się również wystąpienia ich, w dającej się przewidzieć przyszłości. Wojna w kosmosie, możliwa jest jedynie w bardzo nadzwyczajnych warunkach, i nie przewidujemy wystąpienia takiego wariantu.

- Cała nasza kolonizacja, prowadzona jest przez prywatnych obywateli, którzy zgłaszają się do obecnego tutaj pana Meada, po opcje na odpowiednie, a jeszcze niezajęte planety. Rola pana Meada, polega na działaniu w tych przypadkach jako konsultant. Zajmuje się on rejestrem przebadanych planet, które nadają się do zamieszkania przez ludzi, i albo przydziela planetę o którą jest proszony, albo rekomenduje jakąś odpowiadającą wyspecyfikowanym warunkom. Koszt opcji jest wystarczający duży do pokrycia wszelkich niezbędnych operacji administracyjnych, włączając w to odpowiedni zysk dla rządu, pozwalający na finansowanie dalszych badań.

- Osoba otrzymująca opcję, odsyłana jest następnie do Emigracji, która dostarcza kopii prospektu, sporządzonego na podstawie raportu Generalnego Biura Badań i reklamuje podudziały po cenach proponowanych przez nabywcę opcji. I znowu wymaga to wniesienia rozsądnej opłaty, o podobnej naturze jak nasza, poświęconej na te same cele.

- Państwo traci wtedy kompletnie jakikolwiek głos w projektowanej kolonizacji. To jest czysto prywatne przedsięwzięcie -- prosta operacja z dziedziny zarządzania nieruchomościami, jeżeli woli pan takie określenie, z państwem działającym wyłącznie jako agencja reklamowa, i od czasu do czasu jako strona wydzierżawiająca odpowiednie środki transportowe, z Ziemi na nową planetę. Koloniści, oczywiście, pozostają pod naszą ochroną, zachowując pełnię praw obywatelskich, chyba że zażądają niepodległości, która jest swobodnie przyznawana.

- Jeżeli chciałby pan się przyjrzeć, w celu dalszych wyjaśnień, zapraszamy do przejrzania naszej kartoteki dotyczącej Martina Hollidaya, obywatela który jest dosyć typowym przedstawicielem takich operatorów zarządzających nieruchomościami, i który właśnie złożył wniosek o opcję na

swoją drugą planetę. – Marlowe, z uśmiechem na ustach, rozłożył teczkę.

– Dziękuję, powinno być to mi bardzo pomocne – odparł ud Klavan, i wziął od Marlowe'a akta. Przejrzał je szybko, przerwał na chwilę aby, po zapytaniu o pozwolenie Marlowe'a, sporządzić kilka notatek, dotyczących interesujących go informacji, a następnie oddał je z powrotem.

– Niezwykle interesujące – zauważył ud Klavan. – Jednak, gdyby zechciał mnie pan nieco oświecić... Ten człowiek, Martin Holliday, czy to wszystko nie wydaje się być dla niego, nieco zbyt skromną motywacją, biorąc pod uwagę jego wiek? Nawet jeżeli może oczekiwać wysokiego zysku pieniężnego. Szczególnie w sytuacji, kiedy jego pierwsza próba, nie była może porażką, ale nie była też jakimś niesłychanym sukcesem finansowym?

Marlowe bezradnie wzruszył ramionami.

– Skłonny jestem w pełni się z panem zgodzić, panie ud Klavan, ale... – uśmiechnął się, – przyzna pan, jestem tego pewien, że kolejną motywacją jest panująca na Ziemi nuda. Nie jesteśmy jakąś przesadnie logiczną rasą, panie ud Klavan.

– To prawda – odparł Dovenilid.

---

## V

**M**arlowe wpatrywał się w sędziego, od którego nie było odwołania, w swój zegar. Na interkomie zamigotało światelko, i z roztargnieniem dotknął przełącznika.

– Tak, Mary?

– Czy będę jeszcze panu do czegoś dzisiaj potrzebna, panie Sekretarzu?

– Nie, dziękuję ci już, Mary. Dobrej nocy.

– Dobranoc, sir.

Nie było żadnego odwołania. Dzień był zakończony, i musiał iść do domu.

Rozejrzył się bezradnie po pustym biurze, a jego mózg automatycznie liczył rozbrzmiewające od czasu do czasu odgłosy kroków, urzędników i stenografistek przechodzących na chodniku pod jego lekko uchylonym oknem. W końcu, odjechał fotelem do tyłu i zmusił się do powstania. W ponurym nastroju, niespiesznie podszedł do okna i obserwował wychodzących z budynku ludzi.

Waszyngton -- podstarzały, zatłoczony Waszyngton, pocięty labiryntem wąskich ulic, noszący na swojej ponurej architekturze, piętno surowej, pozbawionej fantazji przeszłości -- ciężko oddychał pod zalewającym wszystko słońcem.

Stolicę powinno się gdzieś przenieść, pomyślał sobie, tak samo jak myślał każdego wieczora, ostatnimi czasy. Bliżej serca imperium. Gdzieś poza to zaparowane bagnisko. Poza tę królikarnię.

Jego ciężkie wargi poruszyły się w ironicznym bezgłośnym komentarzu do swoich własnych myśli. Nikt nie miał nawet zamiaru przenosić tej tradycyjnej siedziby imperium. Skoncentrowało się tutaj za wiele nostalgii, zmieszanej z wilgotnością. Nawet kiedy, pewnego dnia, Unia rozciągnie się na całą Galaktykę, ludzie nadal będą nazywali Waszyngton, to miasto położone na starej, leżącej na uboczu Ziemi, swoją stolicą. Ludzkość nie była przesadnie logiczną rasą, przynajmniej jako rasa.

Myśl o tym, że trzeba iść do domu, ponownie go uderzyła, podstępnie omijając bariery otępienia, jakie próbował wznieść. Odwrócił się więc gwałtownie od okna, poruszając się z takim zdecydowaniem, jak tylko w ogóle mógł się poruszać. Otworzył jednym szarpnięciem szufladę biurka i wypełnił kieszenie marynarki długimi pałeczkami z cukierków. Rozerwał cienki papierek na jednej z nich i gryzł koniec, przekładając papiery do swojej aktówki.

W końcu nie był w już stanie niczego więcej wymyślić, żeby opóźnić wyjście. Wszyscy inni opuścili już budynek, który przejmowały w swoje władanie roboty. Na korytarzach odbijały się echem metalowe kroki maszyn, niosących ze sobą szczotki, a ich poruszaniem w obrębie ministerstwa,

zarządzały zrobotyzowane tablice rozdzielcze. Wkrótce roboty sprzątające zaczną się krzątać także w tym konkretnym biurze. Westchnął i powoli wyszedł z gabinetu, zmierzając pustymi korytarzami, na których żadne ludzkie oko nie mogło dostrzec jego człapania.

---

Podszedł do swojego samochodu, i kiedy tylko otworzył drzwi, automatyczne nagranie oznajmiło: „Proszę do domu”, jego własnym głosem. Samochód poczekał, dopóki nie usiadł wygodnie w fotelu, a potem łagodnie przyśpieszył, kierując się do jego mieszkania.

Nagranie było niezbędnym, ale okrutnym środkiem, który sam sobie musiał wprowadzić. Musiał się do niego uciec, aby zwalczyć pokusę pojechania na terminal, w porcie lotniczym, albo na lądowisko raket czy też na stację kolejową -- *gdziekolwiek* -- zanim stanie się ona nie do zniesienia.

Samochód zatrzymał się przed światłem na przejściu dla pieszych i jakiś sportowy wóz śmignął lekko, zatrzymując się obok niego. Jego kierowca na widok Marlowe'a uniósł brew i zachichotał:

- Powiedz grubciu, w którym miejscu kończysz się ty, a zaczyna się ten Buick?

Potem światło się zmieniło, samochód wystrzelił do przodu, pozostawiając Marlowe'a skulonego w swoim siedzeniu.

Nie chciał mieć oficjalnego samochodu, i chronić się za jego numerem rejestracyjnym. Nie chciał być tchórzem. Nie chciał!

Kiedy rozrywał opakowanie kolejnej słodkiej pałeczki, palce lekko mu się trzęsły.

---

Marlowe zwałił się na swój fotel, trzymając ciężkim łapskiem, przyciśnięty do potężnego uda notatnik. Jego wargi coś nerwowo mamrotały, podczas gdy czubek ołówka odmierzał rytm.

- Życie w zbolałym niezadowoleniu - wymruczał. - Nie, to nie to. Gapił się na podłogę, z odległymi, nieobecny oczyma.

---



– Gorzkie niezadowolenie – szepnął. Delikatnie chrząknął, z oddechem, który nie miał siły nawet na tyle, by choćby lekko unieść ciężar jego zwalistej piersi. – Gorzkie życie. – Wykreślił trzeci wers, zastępując go nowym, i zaczął sam sobie czytać pierwsze dwie zwrotki.

*„Z ludzkości jesteśmy zrodzeni  
I oto nasze przeznaczenie:  
Gorzkie życie w niezadowoleniu  
Gdziekolwiek nas rzuci istnienie.  
Przyduszeni potężnym ciężarem  
Co nas ku ziemi przygina  
By stawiać na nowy początek  
Gdzie słabsi więdną i giną.*

Uśmiechnął się lekko, zadowolony z siebie. Może ciągle nie było to doskonałe, ale zbliżał się do tego. Pisał dalej:

*Budować na stosach popiołów  
Ras dawno upadłych w nicości  
Tak mury cytadel wznosimy  
Nienasylenia i ...*

– Co robisz, Davidzie – spytała go żona, zaglądając mu przez ramię.

Odsuwając się, przycisnął notatnik mocno do bioder i nachylił się, jakby w instynktownym geście jego ochrony.

Ciepły, kochający, lekko docinający głos, drażył rozpoczętą kwestię.

– Czyżbyś pisał kolejny wiersz, Davidzie? Myślałam, że dałeś sobie już z tym spokój!

– To... to nic takiego, naprawdę, ehemmm... Leonoro. Nic ważnego. To tylko... pewna myśl, która chodziła mi po głowie. Chciałem jej się pozbyć.

Jego żona pochyliła się nad nim i niezgrabnie pocałowała go w policzek.

– Czemu tak się wykręcasz, ty stary wielki miśku! Założę się, że to jest coś dla mnie. Czy tak, Davidzie? Czy to jest dla mnie?

Pokręcił głową z niemal rozpaczliwym żalem.



– Ja... obawiam się, że nie, ehemmm... – Chrząknął. – To o czymś innym, Leonoro.

– Och. – Obeszła fotel dookoła, i pośpiesznym gestem potarła go leciutko po policzku, uśmiechając się z błagalnym wyrazem na twarzy. – Ale, Davidzie, chociaż mi go przeczytasz, co? Proszę, kochanie.

– No cóż, to jest... to jeszcze nie jest skończone... nie do końca.

– Jeśli nie chcesz, to nie musisz, Davidzie. To nie jest ważne. Naprawdę, nie. – Głęboko westchnęła.

Uniósł notatnik, czując zimno oddechu w ściśniętym gardle.

– No, dobrze – powiedział, wydobywające się z jego ust słowa, brzmiały ochryple. – Przeczytam ci. Ale to jeszcze nie jest skończone.

– Jeśli nie chcesz...

Zaczął pośpiesznie czytać, z oczyma utkwionymi w notatniku, głosem stłumionym do ochryplego, spazmatycznego szeptu.

*Tak mury cytadel wznosimy  
Nienasycenia i niecierpliwości.*

*Żaden mur nie daje schronienia  
Żaden dach przed bólem nie chroni  
Nie spoczniemy, przekłęci  
Znów nas coś do przodu goni.*

*Kroczymy niezliczoną...*

– Davidzie, czy jesteś pewien tych ostatnich wersów? – Uśmiechnęła się przeprasząco. – Wiem, że jestem może staromodna, ale czy nie mógłbyś ich zmienić? To wydaje się takie... takie okrutne. I myślę, że mogłeś nieświadomie zapożyczyć to od kogoś innego. Jakoś prześladowuje mnie takie natrętne wrażenie, że już to gdzieś kiedyś słyszałam. Czy tobie tak się nie wydaje?

– Nie wiem, kochanie. Być może masz rację co do tych ostatnich słów, ale tak naprawdę, to nie ma najmniejszego

znaczenia, nieprawdaż? Nie mam zamiaru tego publikować, czy coś w tym stylu.

– Wiem, kochanie, ale pomimo wszystko...

Patrzył na nią z rozpaczą.

– Najmocniej cię przepraszam, kochanie! – powiedziała ze skruszoną miną. – Proszę, kontynuuj. Nie zwracaj uwagi na moje głupie komentarze.

– One wcale nie są głupie...

– Proszę cię, kochanie. Mów dalej.

Jego palce zacisnęły się na brzegu notatnika.

*Kroczymy niezmierną rzeszą  
Padając, krwawiąc, umierając  
Nieodparci jak morza otchłanie  
Jak przyływ niebios zalewając.*

*Za co ta nasza pokuta  
Za jaką zbrodnię pradawną  
Że ciągle musimy iść dalej  
Aż czasu kresy zapadną?*

*Czyja ręka nas takich wykuła  
Jakiż kaprys, losu bogini,  
W dziele naszego stworzenia  
błąd co wielkimi nas czyni*

– Och, to jest dobre, kochanie! To jest naprawdę dobre! Davidzie, jestem z ciebie dumna.

– Ten ostatni komentarz coś mi brzydko pachnie – powiedział zdecydowanym głosem, – ale, w każdym razie, są jeszcze dwie kolejne zwrotki.

– Davidzie!

Ponuro wyrzucił z siebie osiem ostatnich linijek.

*Czy kłuje nas czasem ostrze  
Ironii imperiów przemian?  
Czy rak niezadowolenia jest ceną  
Przyszłej galaktyki Ziemiań?*

Leonorę, odrzucił jego zimny gniew. Ramiona zaczęły jej się trząść, i wybuchła szlochem, podtrzymując rękoma skłębioną masę opadających na twarz rozsypanych włosów.

*Czy dusze nasze aż tak są spaczone?*

*Czy nigdy nie zaznamy wytchnienia?*

*Czy gwiazdy są warte szaleństwa*

*Wrodzonego nam niezadowolenia?*

– Dobranoc, Leonoro.

---

## VI

**N**a interkomie Marlowe'a zamigotała lampka.

– Dzień dobry, panie Sekretarzu.

– Dzień dobry, Mary. Co się stało?

– Harrison został deportowany z Dovenil, sir. Oskarżono go o przestępstwo pospolite. Całkiem poważne.

Brwi Marlowe'a powędrowały do góry.

– Co wie wiemy na ten temat?

– Nie za dużo, sir. Raport Harrisona jeszcze nie dotarł. Ale cała sprawa jest już w przekazach wiadomości, sir. Jeszcze nie zostaliśmy poproszeni o komentarze na ten temat, ale do Emigracji już dzwoniło kilka agencji informacyjnych, a Ministerstwo Edukacji właśnie dzwoni do nas, dopytując się, czy nie byłoby dobrze opublikować jakiegoś ogólnego stwierdzenia na temat szczegółowych instrukcji udzielanych wyjeżdżającym na wymianę studentom, uczulających ich na kwestię naruszania miejscowych zwyczajów.

Spojrzenie Marlowe'a z zadumą omiatało masę papierów, piętrzącą się na stosie w przegródce jego pudełka IN.

– Daj mi taśmę z typową wiadomością – polecił jej w końcu. – Zawieś wszystkie inne sprawy. Obecne wyjaśnienie dla wszystkich agencji informacyjnych: W tej chwili żadnych

komentarzy, odpowiednie oświadczenia zostaną przedstawione jeszcze dzisiaj, o późniejszej porze, po wstępnym zbadaniu sprawy. Ministerstwo wyraża głęboki żal z powodu tego incydentu, i będzie próbować rozwiązać tę kwestię jak najszybciej i w jak najbardziej przyjaznej atmosferze, i tak dalej, i tak dalej. OK.?

– Tak, sir.

Wykręcił swoim fotelem, odwracając się twarzą do ekranu umieszczonego na bocznej ścianie, który niemal natychmiast zamigotał kolorami i pojawiły się na nim przebiegające zakłócenia. Obraz ustabilizował się i wyostrzył, a taśma z wiadomością zaczęła się przewijać.

Nagłówek: Dovenil, Sektor Trzeci, Dzień 183, 2417 GST.

Nasz reporter z Aktualności na tej małej planecie na obrzeżach Unii, nie był w stanie w dniu dzisiejszym uzyskać komentarza od żadnego z wysokich urzędników tej obcej cywilizacji, bezpośrednio związanych z poleceniem deportacji, przebywającego na wymianie studenta-observatora Huberta Harrisona, któremu postawiono zarzut kradzieży i napadu, popełnionych na osobie obywatela Dovenilid. Obywatel Unii, Harrison, jak do tej pory nie jest osiągalny, w celu udzielenia wyjaśnień, ale Aktualności, zaprezentują jego zdjęcia i inne tego rodzaju dane, kiedy tylko zostaną one przekazane.

Marlowe chrząknął. Żargon dziennikarski bił z każdego słowa. To ostatnie rymowane zdanie, z pewnością utkwi w głowach widzów. Chyba, że to jest tylko kolejna sztuczka reklamowa, ale gdyby zaczęli upychać je w tekście głównym samej wiadomości, mogłoby to spowodować przekazywanie Aktualnościom zbyt wielu fałszywych informacji, co prowadziłoby do zniszczenia nawet tej niewielkiej reszty reputacji, jaka im pozostała.

Dotknął przełącznika interkomu.

– Ehemmm... Mary, jaki był odzew na tę wiadomość?

– Poniżej jednego procenta, sir.

Co oznaczało, że jak do tej pory, Ciało Polityczne jeszcze nie zareagowało.

– Dziękuję ci. Czy jest jeszcze coś, co się pojawiło?

– W tej chwili nic, sir.

– Co... – Kapusta. – Co robi teraz Dalish ud Klavan?

– Mieszka w hostelu Solar, sir. Obsługa zgłaszała, że ciągle jest w swoim pokoju, i nie zarezerwował miejsca na żadnym ze środków transportu długodystansowego. Nie kontaktował się również z nami, tak więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że nadal może nie zdawać sobie sprawy, z tego co się stało.

– Ile połączeń telefonicznych wykonał wczoraj, zarówno przed przyjściem tutaj, jak i potem? I z kim rozmawiał?

– Mogę przekazać panu pełną listę, w ciągu dziesięciu minut, sir.

– Zrób to, Mary.

Rozłączył się, usiadł uderzając z płaskim ręką o brzeg swojego biurka i ponownie go włączył.

– Mary, chcę dane z GenBadu na temat obszaru Dovenil, do głębokości dziesięciu lat sześciennych.

– Tak, sir.

– I połącz mnie proszę, z panem Meadem.

– Tak, sir.

Kiedy się rozłączył, Marlowe wciągnął wargi, przygryzając je zębami. Złapał cukierkową pałeczkę z szuflady, zerwał z niej częściowo opakowanie... i wrzucił ją z powrotem do szuflady, ponieważ zadzwonił telefon na biurku.

– Witaj, Chris.

– Witam, panie Marlowe.

– Posłuchaj, Chris... czy Holliday już opuścił Ziemię?

– Tak, sir... Tak, Dave.

– Gdzie on teraz jest?

– Na Lunie, w drodze do Karlshaven. Miał trochę szczęścia, i najzupełniej przypadkiem, udało mi się zaaranżować dla niego, podróż na statku GenBad-u, który akurat właśnie wybierał się w tamtą stronę, jeżeli mnie pan rozumie. – Mead wyszczerzył zęby.

– Sprowadź go z powrotem.

Uśmiech nieco zbladł.

- Nie mogę tego zrobić, panie Marlowe! On nie byłby w stanie tego wytrzymać. Powinien pan go widzieć, kiedy pakowałem go do promu. Napakowaliśmy go ŁatwySnem, a nawet wtedy jego podświadomość była w stanie wyczuć otaczające go grodzie, pomimo tego że spał. Te promy są naprawdę małe, i nie mają żadnych portów widokowych.

- Nic na to nie możemy poradzić. Potrzebujemy go, a ja muszę z nim przedtem porozmawiać. Osobiście.

Mead przygryzł wargę.

- Tak, sir.

- Dave.

- Tak... Dave.

---

## VII

**D**alish ud Klavan usiadł wygodnie w fotelu, naprzeciw Marlowe'a. Oparł palce jednej ręki na swoim notatniku i czekał.

- Panie ud Klavan - przyjaznym tonem rozpoczął Marlowe, - bez wątpienia zdaje pan sobie sprawę z tego, że pański odpowiednik na Dovenil został oskarżony o przestępstwo kryminalne i stamtąd deportowany.

Dovenilid skinął potwierdzająco głową.

- Bardzo niefortunny incydent. Żałuję go nie tylko osobiście, ale wręcz jestem pewien, że moi rodacy zdecydowanie woleliby, aby nigdy nie miał miejsca.

- Naturalnie. - Uśmiechnął się Marlowe. - Po prostu chciałem pana uspokoić i zapewnić, że ten incydent w żaden sposób nie będzie miał wpływu na pański status. Badamy przypadek naszego reprezentanta i podejmiemy odpowiednie działania, ale wydaje się to całkowicie oczywiste, że wina nie leży po stronie pańskich rodaków. Już przestaliśmy wyraży ubolewania i notę z przeprosinami do pańskiego rządu. Jako kolejny element zadośćuczynienia, osobiście chciałbym pana

---

## Cytadela

---

zapewnić, że będziemy starali się współpracować i ułatwić pańskie własne badania, na wszelki możliwy sposób. Jeżeli jest cokolwiek, czego chciałby się pan dowiedzieć -- nawet jeżeli w zwykłych okolicznościach, mogłoby to być uważane za informację poufną -- po prostu proszę do nas zadzwonić.

Grzebień ud Klavana poruszył się o ułamek cala, i Marlowe zachichotał w myślach. No cóż, nawet najbardziej błyskotliwemu szpiegowi można wybaczyć, że w takich warunkach przytrafi mu się zbyt otwarte okazanie zaskoczenia.

Dovenilid posłał mu ostre spojrzenie, ale Marlowe zaprezentował w odpowiedzi, pozbawioną wyrazu fasadę potężnego ciała.

Sekretarz ponownie zachichotał w myślach. Wątpił, czy ud Klavan jest w stanie przyjąć hipotezę, że Marlowe nie wiedział o tym, że on jest szpiegiem. Ale Dovenilid musi być w tym momencie bardzo zbitą z tropu istotą.

- Dziękuję panu, panie Marlowe - w końcu oznajmił. - Bardzo jestem za to panu wdzięczny, i pewien jestem, że moi rodacy zinterpretują to, jako jeszcze jedną oznakę przyjaźni Unii.

- Mam nadzieję, że tak będzie, panie ud Klavan - odparł



Marlowe. Wymieniwszy te ostatnie przyjacielskie kłamstwa, przeszli do zwyczajowych formuł Dovenilidów, poprzedzających odejście.

---

Jak tylko obcy wyszedł od niego, Marlowe pacnął ręką przycisk interkomu.

– Ehemmm... Mary, czy są jakieś nowe wieści o Hollidayu?

– Jego prom ląduje na Idlewild za pół godziny, sir.

– W porządku, proszę złapać pana Meada. Niech spotka się ze mną przed wejściem do budynku i załatw urzędowy samochód, który zawiezie nas na lądowisko. Chciałbym też, żeby pojechał z nami ktoś z Emigracji. Zadzwoń na Idlewild, niech przygotują jakieś biurko i krzesła dla czterech osób, i mają ustawić to na dworze, na środku lądowiska. Zadzwoń też do Ministerstwa Transportu, aby upewnili się, że lądowisko będzie wolne, dopóki my nie zakończymy naszych spraw. Powołaj się na moje ministerialne prerogatywy, i żadnych wymówek ani dyskusji. Chcę ten samochód za dziesięć minut.

– Tak, proszę pana.

Głos Mary był doskonale zrównoważony, bez śladu nawet oznak, że właśnie dzieje się coś niezwykłego. Marlowe rozłączył się i wykrzywił usta.

Wziął raport GenBad na temat obszaru Dovenil, i zaczął go szybko przeglądać.

---

Kiedy wyszedł ze swojego gabinetu, przechodził koło baterii urzędników w zewnętrznych pomieszczeniach biura, a następnie ruszył korytarzem, uważnie trzymał wzrok utkwiony przed siebie. Sztywno spoglądał prosto w wejście do swojej osobistej windy, która w ciągu dnia obsługiwana była przez człowieka, zgodnie z przepisami wprowadzonymi Ustawą o Zatrudnieniu Ludzi, z 2302 roku. Przed wejściem do budynku spotkał się z Meadem i Bussardem, człowiekiem z Emigracji. Podając temu drugiemu rękę na powitanie, nie patrzył mu w oczy. Ruszył za nimi po chodniku, czując rozpaczliwe pragnienie ukrycia się przed wszystkimi, a



następnie wszedł do samochodu, z uważnie wystudiowanym jako normalny, brakiem pośpiechu.

Siedział cały spocony, przez kilka minut gryząc cukierkową pałeczkę, zanim był w stanie cokolwiek powiedzieć. Potem, powoli, odbudowywał swoje poobijane bariery ochronne, dodając sobie pewności siebie, i udało mu się w końcu nawet spojrzeć na Bussarda, zanim zwrócił się do Meada.

– No dobrze, teraz więc – wyrwało mu się zbyt gwałtownie, zanim zdążył się powstrzymać. – Chris, tutaj jest raport GenBadu na temat obszaru Dovenil. – Czy będzie w nim coś, czego byś już nie wiedział?

– Nie wydaje mi się, sir.

– O.K., znajdź mi więc zdatną do zamieszkania planetę w pobliżu Dovenil ale nie dokładnie w ich układzie -- może być nawet na dłuższą metę Fałszywa-E. Jeżeli będzie to w ogóle możliwe, chciałbym aby była ona w układzie pozbawionym innych bogatych planet. Nie chciałbym również żadnego bogatego układu w jej pobliżu. Jeżeli nie uda ci się tego zrobić, zaaranżuj pełną wyprzedaż ewentualnych praw do wszystkich surowców mineralnych i innych zasobów, odpowiednim firmom. Chciałbym, aby ta planeta nadawała się do zamieszkania, ale aby uniemożliwić jakimkolwiek istotom, które by na niej żyły, zdobycie wystarczająco dużej ilości zasobów, na zbudowanie cywilizacji technicznej. Czy to możliwe?

Mead pokręcił przecząco głową.

– Nie wiem.

– Masz jakieś piętnaście minut, żeby się tego dowiedzieć. Będę musiał porozmawiać z Hollidayem, i kiedy powiem mu, że mam dla niego inną planetę, wszystko będzie zależeć od tego, czy uda ci się jakąś wynaleźć. Przepraszam, że zwałam to na ciebie w taki sposób, ale nie ma innego wyjścia.

Mead skinął głową.

– W porządku, panie Marlowe. Właśnie za to mi płacą.

– Dobry chłopczyk. Teraz, pan, panie ehemmm... – Królik.

– Bussard. Chciałbym, żeby był pan gotów przedstawić plan kompletnej akcji reklamowej i program prospektu. Prosta, rutynowa robota, ale w czasie mniej więcej cztery razy krótszym, niż normalnie. Najtrudniejszą sprawą dla pana,

będzie dostosowywanie się do strategii, jaką ustalamy Chris i ja. Niech pana sprawia wrażenie, że nie jest pan niczym zaskoczony, i proszę zachowywać się, jakby takie rzeczy zdarzały się codziennie.

– Tak, panie Marlowe.

– Dobrze.

Bussard wyglądał za zakłopotanego.

– Acha... panie Marlowe

– Tak?

– Co do tego człowieka, Harrisona. Przypuszczam, że wszystko to jest wynikiem tego, co stało się z nim na Dovenil. Jak pan myśli, czy w tym, co o nim mówili, jest jakiś cień prawdy? Czy też może była to tylko wymówka, żeby pozbyć się go z ich planety?

Marlowe popatrzył na niego zimno.

– Niech pan nie będzie durniem – parsknął.

---

## VIII

**M**artin Holliday powoli wyłonił się z włazu wahadłowca i niezgrabnie zszedł po schodkach, opierając się na ramieniu jednego z ludzi, z obsługi pokładowej. Jego twarz przybrała nakrapiano szarą barwę, i nie był w stanie powstrzymać drżenia rąk. Zszedł na dół, na asfalt i stanął, wodząc głową z jednej strony na drugą, wręcz pożerając oczyma wolną przestrzeń lądowiska.

Marlowe siedział za biurkiem, które ustawione zostało na środku pustego placu, a spojrzenie Sekretarza, utkwione w Hollidayu, wyglądało na bardzo zamyślane. Bussard stał obok niego, nerwowo próbując wyglądać na niezaangażowanego w całą tę sprawę, podczas gdy Mead podszedł do promu, aby ucisnąć rękę starszego mężczyzny, przytrzymał go potem za nią, i podprowadził wprost do biurka.

Marlowe poprawił się na krześle. Biurko miało typowe rozmiary, i musiał usiąść w większej odległości od niego. W takiej pozycji, nie mógł się czuć wygodnie.

Jego grube palce powędrowały do bocznej kieszeni marynarki i oberwały opakowanie z kolejnej słodkiej pałeczki. Zaczął ją jeść, trzymając w lewej ręce, podczas gdy Mead przedstawiał mu Hollidaya.

– Jak się pan ma, panie Holliday? – przywitał się z nim Marlowe, nieco bardziej podniesionym głosem, niż sobie by tego życzył. Uścisnął rękę mężczyzny.

– Jestem... jestem zaszczycony tym, że mogę pana spotkać, panie Sekretarzu – odparł Holliday. Jego spojrzenia biegły gdzieś obok głowy Marlowe'a.

– To jest pan Bussard z Emigracji, no i oczywiście zna pan już, pana Meada. No dobrze, chyba możemy wszyscy usiąść.

Krzesło Meada stało obok miejsca Hollidaya, a Bussard siedział przy jednym z boków biurka, tak więc tylko Marlowe, w nieunikniony sposób, zasłaniał pełny widok rozciągającego się za jego plecami pustego asfaltu.

– Przede wszystkim, panie Holliday, chciałbym panu podziękować za pański powrót. Proszę mi wierzyć, naprawdę nie wystosowałem takiej prośby, gdyby to nie była tak nagląca i ważna sprawa.

– Nic się nie stało – powiedział Holliday cichym, przeproszającym tonem. – Nie czuję urazy.

Marlowe skrzywił się lekko, ale musiał kontynuować.

– Panie Holliday, czy oglądał pan ostatnio jakieś serwisy informacyjne?

Mężczyzna z zakłopotaniem pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Ja... Większość czasu spałem.

– Rozumiem, panie Holliday. Tak prawdę mówiąc, to wcale się tego nie spodziewałem, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Sytuacja wygląda następująco: Jakiś czas temu, nasze statki badawcze, działające poza granicami Unii, zgodnie z ich zwykłymi zadaniami ekspansyjnymi, napotkały na obcą cywilizację, na planecie oznaczonej na używanych przez nas mapach, jako Moore II, zaś przez tubylców nazywanej Dovenil. To była w dużej mierze rutynowa sprawa, nie różniąca się specjalnie od innych kontaktów z obcymi, jakie mieliśmy wcześniej. Znajdowali się oni na relatywnie

wysokim poziomie technologicznym, obejmującym początki lotów międzyplanetarnych, i nasze zespoły kontaktowe szybko zdołały wypracować dyplomatyczne status quo, satysfakcjonujące wzajemnie obie strony.

Przerwał na chwilę.

- Zgodnie ze zwykłą praktyką, pomiędzy obydwoma społeczeństwami, wymienieni zostali obserwatorzy, i wszystko wydawało się zmierzać w dobrą stronę.

Holliday skinął głową, ze zboląłą uprzejmością, nie dostrzegając żadnych związków ze swoją osobą. Część nerwowości zaczęła go już opuszczać, ale pełne odprężenie, przy tak wielu innych ludziach znajdujących się w jego pobliżu, było dla niego niemożliwością. Ponadto były jeszcze te miliardy zamieszkujące Ziemię, kłębiące się poza granicą asfaltu.

- Jednakże - Marlowe kontynuował wyjaśnienia, tak szybko jak mógł, - w dniu dzisiejszym, nasz przedstawiciel został deportowany, na podstawie dętego oskarżenia. Bez wątpienia, to dopiero pierwszy ruch w jakiejś bardziej skomplikowanej intrydze, skierowanej przeciwko Unii. Na czym ona polega, do tej pory jeszcze nie wiemy, ale dalsza obserwacja działań ich przedstawiciela na Ziemi, przekonała nas, że są oni inteligentnymi, bezwzględными istotami, żyjącymi w społeczeństwie, które mogłoby zawstydzić nawet Machiavellego. Z uporem dążą do celu i zjednoczyli się w ściśle współdziałającą grupę, powołaną do życia, jak wskazują wszelkie oznaki, głównie w celu ostatecznego zdominowania w przyszłości, całego wszechświata.

- Zna pan przecież nasze rozkochane w wolności społeczeństwo. Wie pan, że rząd Unii jest niemal bezradny i że sama Unia jest niczym więcej, niż tylko luźnym związkiem utworzonym z dużej liczby niezależnych narodów, połączonych razem w zasadzie niemal wyłącznie przez fakt, że wszyscy jesteśmy Ziemianami.

- Wobec takiego narodu, jak Dovenilidzi, jesteśmy prawie bezradni. Już kiedyś wcześniej nas wymanewrowali, pomimo naszych usilnych starań. Nie ma żadnych powodów, żeby nie mogli zrobić tego samego ponownie, kiedy tylko będą chcieli.

- Musimy, w jakiś sposób, dowiedzieć się co planują Dovenilidzi, i to jak najszybciej. Z tego właśnie powodu,

usilnie pana proszę, aby zaakceptował pan naszą ofertę innej planety niż ta, na którą otrzymał pan już opcję, położonej bliżej układu Dovenilid. Jesteśmy skłonni, w tych nadzwyczajnych okolicznościach, uznać pański kredyt za wystarczający na całkowite wykupienie połowy planety, a obecny tutaj pan Bussard, zrobi wszystko co się da, dla zdobycia dla pana odpowiednich kolonistów dla tej drugiej połowy, tak szybko jak to tylko będzie możliwe. Czy pomoże nam pan, panie Holliday?

---

Marlowe opadł z powrotem na krzesło. Uświadomił sobie, że w lewej ręce trzyma coś lepkiego i brudnego, i popatrzył na nią, aby się zorientować, że na wpół zjedzona cukierkowa pałeczka, roztopiła mu się w dłoni. Próbował ukradkiem obetrzeć rękę, o spodnią stronę blatu biurka, ale zdawał sobie sprawę, że Bussard to zauważył, i skulił się w sobie i przeklął w myślach swoje łakomstwo.

Twarz Hollidaya skręciła się w nerwowym grymasie.

– Ja... Ja nie wiem...

– Niech pan nas źle nie zrozumie, panie Holliday – zapewnił go Marlowe. – Nie mamy zamiaru prosić pana o to, by pan dla nas szpiegował, ani nie prosimy pana o tę zamianę, w intencji założenia na tej planecie jakiegokolwiek rodzaju bazy. Po prosu chcemy mieć planetę należącą do Unii, gdzieś w pobliżu układu Dovenil. Cokolwiek by nie wymyślili Dovenilidzi, za czasów pańskiego życia, nie nabierze to jeszcze odpowiedniego rozpędu. Będzie pan mógł swobodnie, dożyć końca swoich dni, w sposób w jaki pan sobie tego zawsze życzył, a środki zabezpieczające, jakie już obmyśliliśmy, zapewnią, że w tym czasie nie będzie żadnego naruszenia pańskiej prywatnej własności. Nasze plany dotyczą następnego pokolenia, kiedy Dovenil zainicjuje swój własny program ekspansji. To właśnie wtedy będziemy potrzebować dobrze osadzonego posterunku w pobliżu ich granic.

– Tak – z wahaniem odparł Holliday. – Jestem w stanie to zrozumieć. Ale ja... Ja nie wiem – powtórzył. – Wszystko wydaje się być w porządku. I, jak pan powiedział, do końca mojego życia, nie będzie to miało znaczenia, a to znacznie

---

więcej, niż tak naprawdę mogłem mieć nadzieję. – Popatrzył nerwowo na Meada. – A co pan o tym myśli, panie Mead? Zawsze pan był w stosunku do mnie, w porządku.

Mead rzucił szybkie spojrzenie na Marlowe'a.

– Myślę, że pan Marlowe robi to, co jest najlepsze dla Unii – w końcu powiedział. – Wiem też, że jest w pełni świadomy pańskich osobistych zainteresowań. Uważam, że to co robi, jest w obecnych okolicznościach rozsądne, i myślę że ta propozycja, którą panu zarysował, jest na tyle odpowiednia, że nie może pan sobie pozwolić na to, by jej nie wziąć pod uwagę. Ostateczna decyzja, oczywiście należy do pana.

Holliday powoli pokiwał głową, wpatrując się w dół, w czubki butów.

– Tak, tak. Wydaje mi się, że ma pan rację, panie Mead. – Popatrzył na Marlowe'a. – Cieszę się, że będę mógł pomóc. I jestem wdzięczny za względy, jakie mi panowie okazali.

– Absolutnie, panie Holliday. To Unia jest pańską dłużniczką.

Marlowe ponownie obtarł ręce o spód blatu biurka, ale to tylko jeszcze pogorszyło sprawę, ponieważ na jego palcach pojawiło się sporo czekolady, którą usunął już wcześniej.

– Panie Mead, czy mógłby pan przekazać panu Hollidayowi, szczegóły na temat nowej planety? – oznajmił, próbując wyciągnąć chusteczkę, nie brudząc garnituru. Niemal słyszał w uszach prychnięcie Bussarda.

---

Holliday podpisał kontrakt na nową opcję i uściśnął dłoń Marlowe'a.

– Jeszcze raz chciałbym panu podziękować, proszę pana. Patrząc na to z mojego punktu widzenia, to jest coś za nic, przynajmniej dopóki będę żył. A z tego co mi opisywał pan Mead, to również jest bardzo miła planeta. Nawet lepsza niż Karlshaven.

– Tym niemniej jednak, panie Holliday – odparł Marlowe, – wyrządził pan Unii dużą przysługę. Uznalibyśmy za zaszczyt, gdyby wyraził pan zgodę, na wprowadzanie pańskiej planety do naszych rejestrów, pod nazwą Holliday.

Trzymał swoje spojrzenie daleko od Meada.

Oczy Martina Hollidaya rozbłyły.

– Dziękuję panu, panie Marlowe – wyszeptał ochryplym głosem.

Marlowe nie potrafił wymyślić na to żadnej odpowiedzi. W końcu po prostu skinął głową.

– To była przyjemność, spotkać się z panem, panie Holliday. Przygotowaliśmy transport dla pana. Pański wahadłowiec startuje niemal natychmiast.

Twarz Hollidaya zaperliła się świeżymi kropelkami potu, na samą myśl, o zamykających się wokół niego po raz kolejny grodziach promu, ale udało mu się uśmiechnąć, a następnie zapytać, z wahaniem:

– Czy mógłbym... Czy mógłbym poczekać na prom tutaj na zewnątrz, proszę pana?

– Z pewnością. Zaraz to załatwię. No cóż, a więc... do widzenia, panie Holliday.

– Do widzenia, panie Marlowe. Do widzenia, panie Bussard. No i do widzenia, panie Mead. Chociaż nie wydaje mi się, abyśmy kiedyś się jeszcze spotkali.

– Wszystkiego najlepszego, panie Holliday – pożegnał się z nim Mead.

---

Marlowe wykręcał się niezdarnie na tylnym siedzeniu samochodu, bezskutecznie próbując zetrzeć długi ślad po czekoladzie, z kieszeni spodni.

No cóż, pomyślał sobie, przynajmniej uwieczniłem imię tego starego człowieka na mapach gwiazdnych, aż do czasów, kiedy Ziemianie przestaną wędrować między gwiazdami.

Przynajmniej to mu dał.

Mead popatrzył na niego.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli tyle czasu, by mógł w spokoju doczekać śmierci, co? – spytał.

Marlowe pokręcił przecząco głową.

– Pewnie od razu będziemy musieli zacząć go łamać?

Marlowe skinął potwierdzająco.

– Zajmę się tym od zaraz, sir.

*Dave!* Czy wszyscy muszą mnie nienawidzić? Czy nikt nie może tego zrozumieć? Nawet ty, ehem... Zwid? Nawet ty, Mead?

## IX

**P**rzygarbiony i pomarszczony Dalish ud Klavan, siedział z pozbawioną nadziei twarzą, naprzeciwko Marlowe'a, który rozparł się za swoim biurkiem jak posiwiały niedźwiedź polarny, a rzedniejąca grzywa jego białych włosów, była rozwichrzona i sterczała na wszystkie strony.

– Panie Marlowe, mój naród się dusi – powiedział stary Dovenilid.

Marlowe spoglądał na niego w milczeniu.

– Republika Holliday podpisuje z nami traktat za traktatem, a mimo to jej obywatele najeżdżają nasze planety górnicze, przepędzając moich rodaków, okradając nas z zasobów, które musimy mieć, jeżeli mamy przetrwać.

Marlowe westchnął.

– Niczego nie mogę zrobić.

– Wielokrotnie już zwracaliśmy się do rządu Holliday – argumentowałem ud Klavan. – Powiedzieli nam, że napastnicy, to kryminaliści, że zrobią wszystko co w ich mocy, aby ich powstrzymać. Ciągłe jednak skupują przywożone im przez najeźdźców metale.

– Muszą to robić – odparł Marlowe. – W rozsądnych odległościach nie ma żadnych dostępnych zasobów surowcowych. Jeżeli chcą aby ich cywilizacja przetrwała, *muszą* kupować je od bandytów.

– Ale oni są członkami Unii! – zaprotestował ud Klavan. – Dlaczego wy nic nie zrobicie, żeby ich powstrzymać?

– Nie możemy – ponownie odparł Marlowe. – Są członkami Unii, ale są również niezależną republiką. Nie mamy nad nimi żadnej jurysdykcji administracyjnej, a gdybyśmy taką spróbowali ustanowić, nasi własni obywatele, na całym naszym terytorium, powstałi by w proteście.

– A więc, jesteście skończeni. Dovenil jest martwa.



Marlowe wolno pokiwał głową.

– Bardzo mi przykro. Jeżeli będzie coś, co mógłbym zrobić, albo mogłoby zrobić Ministerstwo, to zrobimy to. Ale nie jesteśmy w stanie uratować państwa Dovenilidów.

Ud Klavan popatrzył na niego gorzko.

– Dziękuję panu – stwierdził. – Dziękuję panu za pańską wspaniałomyślną ofertę pięknego pogrzebu.

Nagle wybuchnął:

– Nie rozumiem was! Nie rozumiem was, ludzi! Dyplomatyczne kłamstwa, tak. Wybiegi w poszukiwaniu korzyści, tak! Ale to... to szaleństwo, to fanatyczne, nielogiczne poświęcenie dla państwa, w przypadku istot, które nie tolerują żadnego państwa! To... nie, tego nie jestem w stanie zrozumieć!

Marlowe popatrzył na niego, spojrzeniem brzemiennym wieloletnim doświadczeniem.

– Ud Klavan – powiedział, – ma pan zupełną rację. Jesteśmy rasą maniaków. Ale to właśnie dlatego Ziemiańskie rządzą galaktyką. Ponieważ nasze traktaty nie są wiążące, a nasze obietnice są bezwartościowe. Nasz rząd *nie* reprezentuje ludzi. On reprezentuje ludzi takich, jakimi byli kiedyś. Opóźnienie w procesach demokratycznych jest takie duże, że podpisany w danym dniu traktat, wypełnia obietnice z przeszłości. Ale w danym dniu Ciało Polityczne uformowało już nową opinię, która biegnie wzdłuż nowej ścieżki rozumowania, która jest kompletnie odmienna od tej z przeszłości. Obietnice Ziemiańskie -- wyrażone w słowach lub czynach -- są dobre *jedynie na tę chwilę, w której je czyni*. Już sekundę później, do zbioru wszystkich okoliczności, dodawane są nowe czynniki, i w jego głowie tworzy się nowa ścieżka rozumowania, po to by ponownie ulec zmianie, w kilka sekund później.

Zupełnie niespodziewanie przyszedł mu do głowy, ten klaustrofobiczny biedak, Holliday, gnany przez swoją udrękę z planety na planetę, bez chwili spoczynku -- i cywilizujący, cywilizujący, pracujący nad ekspansją ludzkości, gdziekolwiek by się nie udał. Cywilizujący z zapałem, jakiego żadna wynajęta namiastka nie byłaby w stanie z siebie wykrzesać. Popędzany swoimi własnym lękami do sprzedawania, z całym talentem agenta handlu nieruchomościami, jaki się w nim

zrodził. Sprzedający aby zdobyć pieniądze, przy pomocy których chciał kupić ziemię, niezbędną mu dla jego własnego spokoju -- i zawsze zmuszany do tego, aby sprzedać odrobinę za dużo.

Ud Klavan podniósł się z krzesła.

- W tym także ma pan rację, Marlowe. Jesteście rasą maniaków, płaczących się między gwiazdami. Ale wie pan co, panie Marlowe? Inne rasy wszechświata was nienawidzą.

Marlowe tytanicznym wysiłkiem wywindował się ze swojego fotela.

- Nienawidzą nas? - Przetoczył się dookoła biurka i ruszył w stronę wystraszonego Dovenilida, który wycofywał się tyłem ustępując przed nim.

- Czy wy naprawdę tego nie rozumiecie? Czy nie widzicie, że jeżeli mamy podążać przez dłuższy czas jedną ustaloną ścieżką działania -- jeżeli mamy osiągnąć kiedykolwiek taki stan galaktyki, w którym pewnego dnia, Ziemianie będą żyli w pokoju z samymi sobą -- musimy codziennie naruszać kodeksy moralne i prawdy wiary, które jeszcze poprzedniego dnia uważaliśmy za nienaruszalne? Że musimy walczyć przeciwko wszelkim ideałom, wszelkim zasadom, jakich nauczyli nas nasi ojcowie, ponieważ nie mają one już dłużej zastosowania do naszej nowej logiki rozumowania?

Roześmiał się chrapliwie.

- Ty nas nienawidzisz! - Wyrzucił swoją tłustą pięść, z paznokciami wbitymi w dłoń, zatrzymując ją przez wystraszonymi oczyma obcego. - Ty biedna, słaba, uparta, bezskuteczna istoto! My samych siebie nienawidzimy!

KONIEC

# Bóg Ognia

## (Firegod)

— **W**asza Wysokość!

D'hai Merssu, Cesarz Wszystkich Słońc, Obrońca Galaktyki, ze spokojem uniósł głowę, spoglądając na swojego premiera, który wpadł jak bomba do komnaty. Jego szczupła, myśląca twarz, nie zmieniła swego wyrazu, gdy obserwował bladego i spoconego człowieka, stojącego po drugiej stronie wyłożonej kamiennymi płytami podłogi. Po skórze ministra przebiegały ostre, nerwowe dreszcze.

— Spokojnie, Tors, spokojnie — powiedział cicho, a jego oczy kpiąco błyszcząły spod zwieszających się nad nimi ciężkich, ciemnych brwi. — Teraz jesteś Pierwszym Ministrem – pamiętaj o tym. Pierwszy minister nie wpada bezmyślnie do pałacu, jakby niebo miało mu się zaraz zawalić na głowę. To wywołuje niepokój wśród ludzi. Spróbuj sobie zapamiętać, że nie jesteśmy już parą prymitywnych rabusiów, próbujących obalić Koronę. Teraz to my jesteśmy Koroną. Spróbuj zachowywać się stosownie do tego.

— D'hai, niebo wali nam się na głowę! — wybuchnął bezmyślnie Tors. — Otrzymałem wiadomość, że Ziemianie przedarli się przez Pogranicze, i zmierzają dalej, do serca samego Cesarstwa! Ich statki są niepokonane. Wygrywają bitwę za bitwą! A ludzie się burzą! Powiadają, że czasy

rządów Fałszywego Cesarza, skończyły się. Niektóre z garnizonów, podniosły bunt!

Wyraz twarzy Cesarza nadal się nie zmienił.

— Tak więc — stwierdził spokojnie, — Ziemianie nie blefowali, kiedy oświadczyli, że mają zamiar wesprzeć prawa starego Cesarza.

— Tak! Twierdziłeś, że tego nie zrobią, D'hai. Co teraz zrobimy?

— Pomyliłem się, Tors — niewzruszenie rzekł Merssu. — To nieistotne. A co do tego, co teraz zrobimy, to uważam, że najlepiej będzie, jeśli przygotujesz kolejne wystąpienie. Powiedz ludziom, że nasza broń jest w gotowości i zostanie użyta, kiedy sytuacja stanie się poważna, tak więc nie muszą się niczego obawiać.

— Ale sytuacja już jest poważna. I o jakiej broni mówisz?

— Nie mamy żadnej broni, Tors — cierpliwie wyjaśnił Merssu. — Ale ta historyjka posłuży do uspokojenia ludzi – i, być może, dzięki niej zastanowią się dwa razy, zanim się zbuntują. A teraz idź już. Pośpiesz się!

Buty premiera ponownie zastukały po podłodze. Drzwi do komnaty zamknęły się.

Merssu uśmiechnął się spokojnie. Wstał i otworzył ukryte drzwi za swoim tronem. Wślizgnął się do korytarza, o którym nikt nie wiedział, zamknął je za sobą i jakieś dziesięć minut później, był już w prywatnej kolejce pneumatycznej, której linia prowadziła przez pół kontynentu, do serca starego i pustynnego łańcucha górskiego.

Kiedy usiadł wygodnie w wyściełanym fotelu wagonika kolejki, Merssu ponownie się uśmiechnął. Biedny Tors! Taki nadpobudliwy. Zawsze zachowywał się histerycznie – doskonały z niego rabuś, pewnie tak, ale człowiek niezbyt mądry. Mądry człowiek zawsze wie, kiedy gra jest skończona. I Merssu roześmiał się.

Gra była tego warta. Pięć lat temu, był rewolucjonistą, prześlizgującym się ulicami w nocy, zawsze żyjącym w zagrożeniu i zawsze starającym się zachowywać mądrze. I tak żył przez cztery lata, a potem – Cesarstwo. Władca absolutny całego Większego Obłoku Magellana. A teraz ponownie znalazł się w opałach. Ale było to zagrożenie, które przewidział dawno temu i na które miał przygotowane plany.

A ten ostatni rok, wart był ryzyka. Ponownie się roześmiał. Biedny, osaczony przez swoje strachy Tors! Został z pustymi rękoma.

Statek kosmiczny spoczywał, jak pocisk ukryty w komorze naboju. Merssu zasunął za sobą drzwi kolejki pneumatycznej i jeszcze raz poświęcił chwilę na podziwianie barbarzyńskiej elegancji jego kształtów. Jeszcze bardziej podziwiał swą przezorność, dzięki której go zbudował. Mądry człowiek zawsze ma w zanadrzu tylne wyjście. Nieśpiesznie podszedł do statku po podłodze hangaru i wszedł do środka.

Sterówka była niewielka, ale dobrze urządzona. Setki przyrządów sterujących zostało ciasno rozmieszczonych na pulpitych wokół wyściełanego fotela, niektóre z nich służyły do obsługi standardowego napędu, inne do ugięcia hiperprzestrzennego.

Ugięcie hiperprzestrzenne! Merssu lekko się uśmiechnął. To była jego ucieczka – i coś więcej. Był to środek do jego przyszłej władzy i to nie tylko czymś tak niewielkim jak Obłok – dzięki temu wynalazkowi całe galaktyki czekały na jego rządy.

Hiperprzestrzeń! To było coś, co skłaniało człowieka do myślenia. Inny wszechświat, nie poza, ale obok jego własnego, ukryty w złożonych poboczach geometrii Riemanna i matematyki Einsteina. Wszechświat w którym czas płynął szybciej, w którym rok normalnego czasu, obejmował całe stulecia. Statek mógł wejść do tego wszechświata i lecieć tuż poniżej prędkości światła, ograniczenia które, w normalnym świecie stanowiło barierę nie do pokonania dla żadnego ciała materialnego. Ale w hiperprzestrzeni, w której istniała ta sama bariera, człowiek z normalnej przestrzeni mógł lecieć przez setki lat, pokonując wielkie odległości, podczas gdy, dla niego, upływało zaledwie kilka miesięcy.

Merssu zachichotał. Za nim, w przepastnych ładowniach statku, znajdowały się działające modele niemal każdej maszyny i każdej broni, posiadanej przez cywilizację Obłoku. Zabierał ze sobą plany, podręczniki, instrukcje, przetłumaczone na prostą symbolikę, którą mogła zrozumieć każda inteligentna istota. Spakował na swój statek całą cywilizację, gotową do przekazania dowolnej grupie ludzi, którą wybierze. Musiał tylko wejść do hiperprzestrzeni i

zgubić się tam, w miejscu, w którym żaden Ziemianin ani buntownik, nie będzie go ścigał. Następnie musi znaleźć prymitywną rasę, ledwie zaczynającą podnosić się z mroków barbarzyństwa. Oferuje im cywilizację. W zamian zostanie – Ubóstwiony!

Ci prymitywni ludzie będą go czcili. Stanie się Merssu, Bogiem Ognia, ciskającym gromy ze sklepienia niebios, przynoszącym wraz z nimi dar cywilizacji. Kiedy dar ten zostanie już przekazany, wzbije się ponownie w niebo, na słupie ognia, obiecując powrócić, kiedy jego lud będzie gotów.

Roześmiał się gromko, głęboki bas jego głosu odbił się echem po całej sterówce. Dlaczego by nie? Mógł polecieć z powrotem w normalny kosmos, spędzić w nim rok, czekając, podczas gdy na prymitywnej planecie minęłoby wiele wieków. Kiedy na nią wróci, będzie ona należeć do niego, a wkrótce potem cały wszechświat będzie skłaniał głowy przed imieniem Merssu, nieśmiertelnego Boga Ognia, ponieważ nie ma równie wielkiej siły, równie ogromnego oddania, jak siła i oddanie ludzi dla swych bogów.

Ciągle jeszcze się śmiejąc, wystrzelił statkiem z hangaru w ciemność kosmosu, a nieco później pomknął w hiperprzestrzeń, podczas gdy wielkie, niebieskie statki z Ziemi, miażdżyły za nim resztki jego porzuconego Cesarstwa.

Po miesiącu znalazł planetę i odpowiednie istoty. Z wyglądu wyglądali niemal jak ludzie, byli tylko nieco niżsi. Nawet lepiej. Był do nich podobny, ale akurat na tyle odmienny, aby wyglądać jak bóg.

Ruszył swym statkiem z rykiem przez atmosferę, ciągnąc za sobą ogromny strumień ognia. Kiedy przelatywał nad morzem, pokrywającym większą część powierzchni tej planety, podmuch odrzutu jego rakiet, wyrzucał wodę wysoko w górę, zamieniając ją w pianę, a grzmiący odgłos jego przelotu odbijał się echem po niebie.

Na brzegu morza spoczywała cicha wioska. Kiedy statek zaczął schodzić do lądowania, podtrzymywany ciągiem silników rakietowych, chaty z błota trzęsły się i podskakiwały, aż do chwili gdy pojazd powoli usiadł na ziemi.

Lekko się uśmiechając, Merssu nałożył na siebie skafander kosmiczny i zapiął na nim uprząż

antygrawitacyjną. Wyleciał przez właz górnej śluzy powietrznej, trzymając w ręku pistolet.

Unosił się w powietrzu ponad wioską. Wycelował broń do góry i wystrzelił z niej. W niebo pomknął stożek płomienia wystrzału. Wycelował w stronę morza i w górę strzeliła wysoka kurtyna pary, zawisając nad wioską.

Merssu obniżył lot i stwierdził, że jego lud czołga się w błocie.

Mijały tygodnie. Strumień ludzi prznosił ładunek statku do wielkiego, rozłożystego budynku, który Merssu wyciął ze skalnej ściany, przy pomocy przecinaka subatomowego. Belki budynku, zostały uświęcone krwią dziewic. We wiosce rozwinęła się nowa klasa ludzi – Kapłani Merssu, Boga Ognia.

I kiedy statek wzbił się ponownie w kosmos, zmierzając z powrotem do normalnej przestrzeni, gdzie Merssu mógłby odczekać swój rok, w czasie którego dla jego ludu minęłyby wieki, kapłani wznosili modły na ołtarzach nowego bóstwa.

— On powróci. Merssu udaje się do swego królestwa w niebie, ale powróci, niosąc w dłoniach płomienie. Merssu, Bóg Ognia – Merssu nieśmiertelny Dawca Ognia – powróci.

I tak minęły wieki.

Merssu sprowadził swój statek z nieba, rozdzierając podczas lotu atmosferę, ryk jego silników rakietowych zagrział potężnie nad ogromnym miastem rozciągającym się nad brzegiem morza. Dźwięk ten odbijał się echem od rzeźbionej fasady Świątyni Merssu i uderzał o ciągnące się wokół budynki.

Statek usiadł na ziemi. Merssu zapiął na sobie paski jednostki antigravitu, i pomknął w powietrzu ponad miastem. Wystrzelił ze swej broni w morze i raz jeszcze uniosła się kurtyna pary. Wycelował broń do góry i na niebie zatańczyły płomienie.

Kiedy dotknął ziemi, z głośnym warkotem podjechał w jego stronę niski samochód, z oznakowaniem duchowieństwa Merssu. Z pojazdu wysiadło dwóch ludzi i podeszło do niego. Jeden z nich ubrany był w ciemną czerń kapłana. Merssu stał, czekając na nich, a oczy płonęły mu tryumfalnym ogniem.

— Kim jesteś? — zapytał kapłan.

Merssu gapił się na niego z niedowierzaniem, a jego poza rozpadła się w drzazgi.

— Kim jestem!? Na kolana, głupcze! Jestem Merssu, Bóg Ognia.

Obaj mężczyźni przez chwilę wpatrywali się w niego w milczeniu, a następnie wybuchli śmiechem.

— Merssu! — Kapłan otarł łzy z oczu. Śmiech drugiego z mężczyzn, zaczął przechodzić w gniew.

— Powstrzymaj swój język, bluźnierco! — oznajmił szorstko, wyciągając z kabury pistolet.

— Merssu! — powtórzył kapłan. — Nieznajomy, jesteś głupcem. Inni, którzy próbowali domagać się jego boskiej czci, przynajmniej mieli na tyle rozsądku, by przebrać się i upodobnić do jego obrazów.

— Obrazy się zmieniają, niebaczny kapłanie! — zagrział Merssu. — Jestem Bogiem Ognia! Patrz na mą moc! — Jeszcze raz wystrzelił w morze i ponownie uniósł się słup pary wodnej. — Jestem Bogiem ognia. Przyleciałem na skrzydłach ognia. Chodzę w powietrzu. Mogę spalić ziemię i morze. Jestem Merssu!

Z twarzy kapłana zniknął wyraz tolerancyjnego rozbawienia. Jego usta wykrzywiły się z lekceważeniem.

— Potrafisz chodzić w powietrzu? Mając założony pas antygrawitacyjny Mark XI, pewnie. Możesz spalić ziemię i morze, co? Mając broń energetyczną, nie ma wątpliwości. Latasz na skrzydłach ognia? No cóż, jeśli już chcesz to określić w tak malowniczy sposób, to pewnie i tak – ale robi to również każdy zapijaczony głupiec latający na statku kosmicznym.

— Mówię ci, ja jestem Merssu! — wrzasnął Merssu. — Pokłoń się i oddaj mi cześć!

— Cisza! — Głos kapłana zabrzmiał groźnie. — Pójdiesz a nami do świątyni. Tam zobaczysz, w jaki sposób oddajemy cześć uzurpatorom!

— Zabiję cię! — krzyknął Merssu, unosząc swą broń.

Kapłan skinął dłonią. Towarzyszący mu człowiek odstrzelił Merssu głowę.

— Bluźnierca! — oznajmił z pogardą kapłan, pełnym niesmaku głosem. Wraz ze swym ochroniarzem wrócił do samochodu, pozostawiając leżące na ziemi ciało, które miano zabrać później.



**C**odziennie wieczorem, o zachodzie słońca, kapłani Merssu stawali nad swymi ołtarzami i intonowali słowa:

— On powróci. Merssu, Bóg Ognia – Merssu, nieśmiertelny Dawca Ognia – powróci.

A lud Merssu intonował w odpowiedzi:

— On powróci.

Po wszystkich galaktykach hiperprzestrzeni, wszędzie tam gdzie dotarli ludzie z planety Merssu, pojawiali się obcy kapłani i odpowiadali im ludzie z obcych ras, ale rytuał był zawsze taki sam.

— On powróci.

I miasto czeka. Czeką cała planeta i inne planety krążące wokół innych gwiazd. Czekają całe galaktyki hiperprzestrzeni.

I zawsze będą czekać.

KONIEC

# Hymn skruchy

(Recessional)

*To było kiepskie miejsce na to, by zapłacić się w Pierwszą Wojnę Międzygwiazdną. W walce przeciw zajadłym Kiti, nie mieli żadnych szans i dobrze o tym wiedzieli – a jednak walczyli ze wszystkich sił. Ale czy ich prawdziwym wrogiem nie była pewna abstrakcja, nazywana historią?*

**N**iesamowite słońce Planety McMillena, wschodziło nad postrzępionym grzbietem górskim, rozciągającym się przed nami, świecąc nam prosto w twarz. Wzdłuż całej porzrucanej linii, ludzie zaczęli nasuwać na oczy przyłbice i przypatrywali się kamienistym zboczom położonego naprzeciwko łańcucha wzgórz, przez zwięzione szczeliny powiek. Pod nami, ranne zwierzę juczne, które krzyczało przez całą noc, kopnęło jedną ze zdrowych nóg jakiś kamień, staczając go z klekotem po zboczu górki, na której zalegliśmy. Niewielkie chmurki pyłu unosiły się i ponownie opadały, w miarę jak gorący wiatr kręcił lekko po dolinie.

Z lewej strony doleciał do mnie, trudny do pomylenia z czym innym, odgłos rygła Blevena, który otworzono aby pozwolić, zatroskanym żołnierzom z plutonu Broni

Automatycznej, na sprawdzenie kiepsko zaprojektowanego ramienia wyrzutnika. Po mojej prawej dowódca kompanii, swoim niskim, zajadłym głosem, dyskutował właśnie z technikiem radiowym, próbując połączyć się z Bazą Gryf. Za mną ktoś wbił bagnet w szczelinę puszkę z racją polową. Czyjeś ciężkie ciało zaszurało po chrupiących kamykach i ktoś do mnie podpełznął.

— Panie kapitanie! — odwróciłem głowę.

Za porysowaną, poznaczoną paciorkami potu przyłbicą hełmu, zobaczyłem zupełnie nieznaną mi twarz. Kapral był jeszcze chłopcem o gładkiej twarzy i drobnej szczęce. Miał jednak potworną bliznę, która musiała być efektem trafienia przez pocisk dum-dum. Trafił go w kość policzkową, rozpląszczył się i poszedł w górę, minimalnie mijając ucho i ścinając mu włosy na skroni. Blizna była ciągle różowa, co oznaczało, że musiał zarobić ją pod Darkarte. Wargę w lewym kącie lekko odginała mu się do góry, pewnie z powodu wstrząsu nerwowego lub złej opieki chirurgicznej nad raną.

— Tak, kapralu?

— Major Law chciałby się z panem zobaczyć, sir.

Popatrzyłem w górę zbocza w stronę stanowiska dowódcy kompanii. Law spoglądał na mnie przez polaroid swojej przyłbicy, unosząc rękę do góry. Przebiegłem szybkim spojrzeniem po przeciwległym grzbiecie. Bóg wie po co, ponieważ ciągle był w cieniu i nic tam nie widziałem, ale kapral też rzucił wzrokiem zanim przeczołgaliśmy się po ostrych kamieniach, do małej dziury strzeleckiej, na w pół oczekując, że skoncentrowany ogień broni ręcznej z grzbietu potnie nas na kawałki.

---

**M**yszę, że kiedy wślizgnęliśmy się głowami naprzód do dołu strzeleckiego bez cienia jakiegokolwiek reakcji ze strony grzbietu, obydwaj byliśmy nieco tym zaskoczeni, ale kapral zwrócony był do mnie akurat uszkodzoną stroną twarzy, tak więc nie byłem w stanie ocenić jej wyrazu.

— Cześć, Mike — powiedziałem, kiedy już przekręciłem się głową do góry i usiadłem, opierając się plecami o jakiś

głaz. Kapral pozostał na brzuchu, ponieważ dół był za mały aby dać mu właściwą osłonę w jakiegokolwiek innej pozycji. Wypróbował już wszystkie wolne kąty.

Mike Law skinął mi głową. Był krępyim człowiekiem, w wieku około czterdziestu pięciu lat, z niewielkimi tylko śladami włosów, jakie pozostały mu pod hełmem, dwoma głębokimi bruzdami wychodzącymi z za nozdrzy i biegnącymi po obu stronach podbródka, nosem rozpoczynającym się jak ślizg narty, ale na końcu zamieniającym się w mały kartofel, oraz tak cienkimi wargami, że mogło być to efektem tylko wieloletniego ich zaciskania. Jego oczu nie sposób było określić jako lodowato-błękitne, ale jedynie dlatego, że lód nie wyglądał aż tak zimno. Znajdujący się za nimi mózg był wspaniały. Był oficerem rezerwy – gdyby był zawodowym, to nawet wszystkie kapuściane łby po tej stronie piekieł, nie przeszkodziłyby mu w zdobyciu stopnia generalskiego. Nie pasował do McMillena w równie dużym stopniu jak każdy inny geograf polityczny, ale robił tutaj lepszą robotę niż jakikolwiek wychowanek West Point, którego kiedykolwiek wysłano na tą spieczoną słońcem skałę.

— Harbin! — rzucił przez ramię i technik radiowy skrzywił się, jakby ten głos „karborundu-na-szkle” przesładował go już od wczesnego dzieciństwa.

— Tak jest, sir!

— Daruj sobie już zabawę tym pudłem. Jeżeli nie jesteśmy w stanie połączyć się z Gryfem, spróbujemy złapać kogoś innego. Zaczynaj wysyłać CQD na wszystkich zakresach fal. Bieź się do roboty!

— Ale, sir, jeśli to zrobimy to Kiti zorientują się, że jesteśmy w kłopotach. — Ten pomysł wyraźnie nie spodobał się radiotechnikowi.

Law wbił wzrok w grzbiet wzgórza.

— Jestem absolutnie pewien, że oni i tak dobrze o tym wiedzą, Harbin! — odpowiedział łagodnym tonem. — Do roboty!

— Tak jest, sir! — Kiedy technik musiał przeskoczyć z powrotem na stanowisko radiowe, leżący na dnie dołu kapral, ochryple się roześmiał. Law spojrział na niego z ciekawością.

— Och, ty jeszcze tutaj jesteś? — spytał łagodnie. — Idź zobacz, czy nie uda ci się wykopać porucznika Grannery, jeśli

łaska. — Kapral skinął głową i prześlizgnął się przez krawędź dołu. Usłyszałem zgrzyt żwiru, przesuwającego się w miarę jego ruchu naprzód, ale nie wystawiłem głowy spoza swojego głazu, aby go obserwować.

— Pewnie dosyć szybko ten chłopiec przeze mnie zginie, Ben — powiedział mi Law, z pewnością człowieka, czytającego przez ramię Losu, — ale co innego mi pozostało? Te przekłete hełmy tłumią dźwięk tak bardzo, że nie można krzyczyć do ludzi, a przy tych zakłóceniach, z walkie-talkie nie ma żadnego pożytku. Nawet duże zestawy to śmiech na sali, kiedy ten kawałek skały podejdzie na swojej orbicie tak blisko słońca.

Zsunął z czoła swoje izolujące plastikowe nakrycie głowy, zaciskając mocno powieki, aby nie dopuścić do oczu szalejącej powodzi światła słonecznego, podrapał się z gniewem po tych kilku włosach, które pozostały wczepione w czubek jego skalpu i z powrotem nacisnął hełm. Wyciągnął złożoną mapę z kieszeni na biodrze, rozłożył ją z szelestem i wskazał palcem na niskie wzgórze, otoczone wyżej położonym terenem. Wykropkowana czerwona linia szlaku marszruty przechodziła obok wzgórza i skręcała dalej, prowadząc przez najeżony skałami teren w kierunku Bazy Gryf.

— Jesteśmy w tym miejscu — stwierdził. Zatoczył palcem koło, po otaczających ich grzbietach górskich i skałach. — A tutaj są oni.

---

**T**o nie było najlepsze miejsce dla człowieka. Od czasu do czasu, pociski wyżej umiejscowionych nieprzyjaciół uderzały z góry w nasze pozycje, sondując porzucane doły strzeleckie, odbijając się rykoszetem od gładów i występów skalnych, wyrzucając w górę garście żwiru i trzaskiem zagłębiając się w ciała. Kiepskie czy nie, ale pomimo wszystko było to znacznie lepsze miejsce niż mogłoby być.

Jechałem łązikiem na tylnym krańcu kolumny, mając nadzieję, że przed rankiem uda nam się dotrzeć do Bazy Gryf. McMillen jest prawie cały usiany górami, a baza leży w niemal jedynym płaskim miejscu na jego powierzchni. Nie

mówiąc już o atrakcyjności samego pomysłu spacerów po okolicy, bez konieczności wspinania się pod górę i schodzenia w dół, dodatkowym atutem był fakt, że kwatery oficerskie w bazie, wyposażone były w klimatyzację. Już się cieszyłem na chwilę, kiedy będzie można zrzucić z siebie te ohydne łachy i człowiek nie będzie się budził w kałuży potu.

Jeszcze trzy dni temu, na paskudnym obliczu McMillena, funkcjonowały dwa cywilizowane miejsca. Teraz, kiedy zniszczyliśmy urządzenia do wytopu, i zburzyliśmy fabrykę, tak by Kiti nie mieli z niej żadnego pożytku, Baza Gryf stała się jedynym, jakie pozostało.

Wszystko to działo się w początkowych fazach Pierwszej Wojny Międzygwiazdnej, kiedy nie mieliśmy żadnej nadziei, na utrzymanie izolowanych systemów gwiazdnych i zapobieżenie przejściu ich przez Kiti. Personel cywilny ewakuowany został do domu, na własnych prywatnych statkach, ale garnizon, wzmocniony przez oddział Constabu, miał trwać, dopóki nas wszystkich nie będzie mógł stąd zabrać transport rządowy.

Czoło kolumny znajdowało się właśnie na szczycie lekkiego wyniesienia szlaku, kiedy uderzyli na nie Kiti. Usłyszałem trzask i wycie przelatujących między nimi pocisków rozpryskowych, chwilę wstrząśniętej przerwy i ciszy, a potem ogień z broni ręcznej, przytłumiony przez Bleveny, które niemal natychmiast się zacięły, zostały przywrócone do sprawności, a potem zacięły się znowu.

— Jedź tam na górę! — wrzasnąłem do swojego kierowcy, a strzelcy z mojego plutonu wskoczyli na pokład łazika, kiedy zaczęliśmy nabierać szybkości. Zacząłem ostrzeliwać z broni pokładowej łazika grzbiety wzgórz wokół szlaku i ogień Kiti częściowo chybił. Pociski kosiły zwierzęta juczne, przywiązane do łazika na wodzach, a moi ludzie zaczęli z przekleństwami na ustach, odcinać je i puszczać luzem. Wtedy Kiti poprawili swoją celność i kule zaczęły walić wokół kierowcy. Łazik zjechał ze szlaku, wspiał się na sześćdziesięciostopniową skarpę i przewrócił, ale moi ludzie i ja zaskoczyliśmy z niego na czas. Rozproszyliśmy się po kryjówkach za skałami na krawędzi szlaku i zaczęliśmy odpowiadać ogniem.

Moi ludzie byli porozrzucani na stu jardach wzdłuż szlaku. W pewnej odległości ponad nami, ludzie Lawa zostali odcięci pomimo ich większej siły ognia, który jednak był mniej efektywny niż powinien, gdyż celowniki podczerwone, na tej przesączonej ciepłem skalnej kuli, były zupełnie bezużyteczne. Zdałem sobie sprawę, że jeżeli dwie połowy kolumny pozostaną rozdzielone, zostaniemy wyrznięci jeden po drugim. Próbowaliśmy więc wywalczyć sobie drogę w górę szlaku, biegnąc przez kilka sekund, a następnie nurkując z powrotem pomiędzy skały i ostrzeliwując grzbiety wzgórz. Nie widziałem jeszcze ani jednego Kiti, czego zresztą, przy ich podjazdowej technice walki, wcale nie oczekiwałem. Po prostu strzelaliśmy w stronę błysków broni w ciemnościach.

---

**B**ylismy jeszcze jakieś pięćdziesiąt jardów od Lawa i jego ludzi, kiedy usłyszałem jak ponad zgiełkiem walki wykrzykuje rozkazy. Stał na szlaku, strzelając ze swojego pistoletu.

— To wzgórze! Musimy dostać się na to wzgórze! Jeżeli zostaniemy tutaj na dole, nie mamy żadnej szansy! — krzyczał.

Dołączyłem z moimi ludźmi do niego i zaczęliśmy przedzierać się w stronę wierzchołka wzgórza, na którym się znajdowaliśmy. Pomógł nam trochę przy tym fakt, że ogień prowadzony pod górę jest zawsze niedokładny, i, po koszmarnych piętnastu minutach, zepchnęliśmy Kiti ze szczytu wzgórza, zajęliśmy na nim coś w rodzaju pozycji oraz po zrzuceniu z góry solidnego deszczu granatów odłamkowych, na żołnierzy nieprzyjaciela próbujących wdrzeć się za nami na wierzchołek, pozostaliśmy tam na całą noc, pełną sporadycznych utarczek ogniowych i wykańczających nerwowo prób infiltracji.

Law uniósł wzrok znad swojej mapy.

— Gdzie jest ten twój łazik, Ben? — spytał. Pokazałem ręką, gdzie leży maszyna i jego czoło zmarszczyło się pod przyłbicą. — To niedobrze. Miałem nadzieję, że będzie trochę bliżej.

Włożył papierosa między wargi, przypalił go, zaciągnął się i pozwolił przez chwilę by dym powoli wylatywał mu z nosa, zanim pozbył się reszty jednym gniewnym parsknięciem.

— Niech to wszyscy diabli, mówiłem im przecież, że ten marsz drogą lądową, nie jest najlepszym pomysłem! — rzucił z wściekłością. Pamiętam, że sugerował przewóz ludzi do Gryfa cywilnymi statkami, ale pułkownik Dentick z Bazy Gryf odmówił zatwierdzenia tego rozwiązania. Ponieważ wszystko, co mieli w Gryfie, to trochę lekkich pojazdów inspekcyjnych i zwiadowczych, skończyło się, tak jak się skończyło.

Kapral i porucznik Grannery wczołgali się do dołu. W środku nie było miejsca aby pięciu ludzi miało właściwą osłonę, ale kapral zaczął poszerzać dziurę, przy pomocy saperki, równocześnie zwalając wykopane kamienie na barykadę. Law popatrzył na niego przez chwilę, a potem ze zdumieniem pokręcił głową. Ogień Kiti trochę zgęstniał, lecz chłopak zdawał się wychodzić z tego bez szwanku.

Grannery poprzedniej nocy został ranny. Na jego rękawie zawiązana była jakaś szmata, przykrywająca bandaż, a hełm, który miał na głowie, musiał chyba zabrać któremuś z poległych, zastępując swój własny, ponieważ widniejący na nim stylizowany znak błyskawicy technika-elektryka został zamazany sztyftem medycznym i zastąpiony przez prostą jedną belkę. Kombinezon także nie mógł być jego, ponieważ na jego ranie na ramieniu, nie było łąty. Upadł na dnie dołu, wyciągając do góry kolana i chrapliwie dysząc z gardła.

— O Jezu! — stwierdził, szybko wyrzucając z siebie słowa.

— Jak u ciebie, Phil? — spytał go Law.

Grannery tylko skinął głową na potwierdzenie „w porządku”. Przeciągnął dłonią po ustach. Jego szerokie wargi były paskudnie popękane. Law podał mu papierosa, którego zaczął palić, krótkimi pociągnięciami.

— Bywało już lepiej — w końcu odpowiedział.

— A jak tam się trzymają te twoje działka? — łagodnie zapytał Law.

— Wydaje mi się, że mniej więcej tak, jak można oczekiwać od Blevenów — odparł Grannery. — Tym niemniej, kto u diabła wmanewrował Zaopatrzenie w zakup takiego koszmaru każdego mechanika?



— Jak przypuszczam, obaj zdajecie sobie sprawę, że jeśli nie uda się nam powiadomić Gryfa, w jakie bagno wpadliśmy, jesteśmy ugotowani — powiedział Law. Odwrócił głowę do tyłu, w stronę radia:

— Harbin!

Technik rzucił przez ramię wystraszone spojrzenie.

— Tak jest, sir!

— Złapałeś kogoś?

— Nie sir. Przykro mi, sir.

---

— **H**m. No dobrze, próbuj dalej. — Law odwrócił się z powrotem w naszą stronę. — Nie mam w związku z tym zbyt wielkich nadziei — stwierdził krótko. — W bazie nie będą się nas spodziewali jeszcze przez niemal cały dzień, a i potem przez parę kolejnych chwil też nie będą się specjalnie martwili. Co więcej, garnizon jest tak mały, że nie będą chcieli podjąć ryzyka, wyruszenia na nasze poszukiwania, dopóki nie będą absolutnie pewni, że coś nie poszło źle.

Strząsnął papierosa, za krawędzią dołu.

— Musimy jakoś przesłać wiadomość — powiedział. — Jeżeli Harbin nie zdoła dokonać praktycznie cudu z tym radiem, będziemy musieli przesłać ją przez kuriera. Nie ma możliwości, abyśmy dali radę wywalczyć sobie stąd wolną drogę, ale łązickowi może się to udać, jeżeli zdołamy wysłać tam, do niego, paru ludzi.

— Kiti zajęli obie strony szlaku i będą tak długo strzelać, aż trafią kierowcę — apatycznie zauważył Grannery.

— Nie wydaje mi się. Na początku będzie trudno, ale będziemy mogli osłonić ucieczkę naszym ogniem. Zaś łązik, kiedy już się rozpędzi, jest w stanie prześcignąć każdego człowieka na nogach. To jest niewielka gromada zwiadowców, którzy spostrzegli szansę wpędzenia nas w strategicznie gorszą pozycję i w ten sposób nas przygwoździli. Zauważcie, że albo skończyła im się amunicja do wyrzutni rakietowych, albo mają jej tak mało, że muszą ją bardzo oszczędzać — powiedział Law. — Byłoby inaczej, gdyby kontrolowali szlak stąd do Gryfa, i mogli ewentualnie zastrzelić pościg z ukrycia dalej na szlaku, ale wątpię, czy

---

mają tutaj więcej, niż kompanię ludzi, i to w najlepszym przypadku. Musieli przekraść się na jednym statku, żeby rozejrzeć się w sytuacji.

Przez chwilę myślałem, że Law nie dostrzegł możliwości, że do tej pory Kiti wezwali większe siły. Ale potem uświadomiłem sobie, że zastanawiał się nad tym znacznie dłużej niż ja i nie chciał jeszcze bardziej dołować i tak już mocno przygnębionego porucznika. Jeżeli będziemy poruszać się szybko, być może uda nam się zrealizować ten plan i uciec, co, w świetle dokonanej przez Lawa oceny całości sytuacji, nie byłoby wcale takim tchórzostwem, jak zazwyczaj.

— Najtrudniejszą częścią tej całej imprezy będzie dostanie się do łązika i powrót na szlak. To oznacza działanie pod ogniem na otwartym terenie. I tutaj właśnie wkraczasz do akcji ty, Phil. Damy ci osłonę ognia z broni ręcznej do czasu aż przestawisz swoje Bleveny, tak byś mógł zamiatać oba grzbiety wznoszące się ponad łązikiem. Potem to ty będziesz osłaniał ludzi pracujących nad maszyną, a następnie razem ze strzelcami zabezpieczycie przedarcie się łązika przez Kiti. Diabelnie mi przykro, ale nie możemy czekać na zapadnięcie zmroku.

— Chcę, abyś teraz poszedł do swoich ludzi i doprowadził te Bleveny do najlepszego stanu, w jakim kiedykolwiek się znajdowały. Nie możemy pozwolić sobie na to, że się zatną. Kiedy będziesz gotów, powiadom mnie, a wtedy uruchomimy całą akcję.

Grannery skinął głową. Rzucił papierosa na ziemię, przydepnął go i zaczął się czołgać w dół zbocza, do swojego stanowiska. Przekradał się od głazu do głazu, wystawiając się najmniej jak to było możliwe. Pomimo wszystko, zauważyłem jak coś uderza w nogawkę jego kombinezonu, zanim zniknął w swoim dole.

---

**K**iti musieli się domyślać, że coś się szykuje, ponieważ ich ogień zintensyfikował się. Law, kapral i ja rzuciliśmy się na dno dołu. Harbin skulił się za opancerzonym radiem.

— Pojedziecie we dwóch — oznajmił bez żadnych wstępów Law. — Kapral będzie kierowcą, a ty, Ben, będziesz mógł swobodnie obsługiwać broń. — Miałem właśnie powiedzieć, że do tego niepotrzebny jest oficer, kiedy przerwał mi, zanim jeszcze na dobre zacząłem.

— Kapralu, a co byście powiedzieli na jakieś śniadanie? — powiedział.

Chłopak zaczął pałaszować puszkę z racją. Law odciągnął mnie na stronę.

— Obaj idziecie z określonych powodów, Ben. Kapral, ponieważ jestem mu winien tę szansę i poza tym medal za odwagę. Natomiast ty, ponieważ, obawiam się, że do przekonania Denticka aby nas stąd wyostał, potrzebny będzie oficer.

— Co? — To było wszystko co zdołałem wyjąkać.

Law ponuro się uśmiechnął.

— Czytałeś może kiedyś coś Kiplinga, Ben? A szczególnie wiersz pod tytułem „Hymn skruchy”<sup>1</sup>.

— Coś tam o „Byśmy, niepomni, nie szli w bezdroże”, czy jakoś podobnie?

— „Floty nasze przesławne stopniały; Na żuławach, łądach popiół siwy: Przygasł blask nasz wczorajszy, wspaniały; Proch z nas został Tyru i Niniwy” — cicho zacytował.

Bóg wie, że słyszałem w życiu mnóstwo wierszy, ale nigdy się nie spodziewałem, że usłyszę Kiplinga z ust Mike’a Lawa, na dnie dołu strzeleckiego na McMillenie.

— Kiedy Kipling to pisał — powiedział Law, — rozumiał jakie czasy nadchodzą dla imperium, którego był obywatelem. To jest nieuniknione dla każdego systemu, który brnie na oślep do przodu, pokładając ufność w „dymie luf i stali pancierzach” i niech diabli wezmą tych na końcu. I to właśnie także stanie się z nami, ponieważ zapuściliśmy się prosto w terytorium Kiti, nie myśląc o konsekwencjach. I to nie o to chodzi, że to bardziej nasza wina niż ich. To nie była również wina dwudziestowiecznych Brytyjczyków, że imperium zaczęło im się walić na głowy. To po prostu

---

<sup>1</sup> Wszystkie cytaty z „Hymnu skruchy” („Recessional”) Rudyarda Kiplinga w tłumaczeniu Stanisława Helsztyńskiego (przyp. tłum.).

system, który wymaga nieustannych wysiłków dla jego utrzymania, a jeżeli wysiłki te kiedykolwiek zostaną zaniechane, nawet na krótki okres, wszystko się wali.

— Ben, kiedy wygramy tę wojnę, a wygramy ją z pewnością, cała filozofia ekspansji międzygwiazdowej, będzie musiała ulec zmianie. Jeżeli nie odrzucimy systemu imperialnego i nie zastąpimy go federacją równych i suwerennych układów słonecznych, to nastąpi cała seria wojen. Kosmos jest zbyt duży, żeby go utrzymać przy pomocy siły lub posłuchu. Ktoś gdzieś zawsze będzie się buntował.

— Ale bardzo wielu ludzi to zdeklarowani imperialiści, Ben. Dentick jest jednym z nich, a podobnie, również, niemal wszystkie największe szczyty. Muszą być, inaczej nie zajmowałoby w hierarchii takiego miejsca, jakie zajmują. Kiedy sprawy w imperium biegają gładko, są całkiem w porządku, ale kiedy dzieją się takie rzeczy jak tu, wpadają w panikę. Są skłonni do tuszowania straty planety, tu i ówdzie, oraz mówienia o „obrazie całościowym”, zaś w końcowej rozpaczy, o „przeżyciu, aby podjąć walkę w przyszłości”. Dla nich poszczególne systemy słoneczne nie mają żadnego znaczenia. Dopóki zachowana jest forma imperium, dbają o to więcej niż o fakt, że terytorium imperium kurczy się każdego dnia.

— To jest właśnie taki rodzaj myślenia, który wytworzył ruchy dążące do restauracji caratu, w pięćdziesiąt lat po Rewolucji Rosyjskiej. Oni po prostu nie rozumieli tego, że ten system jest przestarzały. Niezależnie od tego, czy miał on rację czy nie, czy był on dobry czy zły, po prostu nie może już dłużej funkcjonować.

— Nadal, jednak, nie rozumiem, dlaczego Dentick miałby potrzebować namów, aby cię stąd wyciągnąć — wtrąciłem.

— No cóż, to trochę trudno wytłumaczyć, bez wchodzenia w pewne szczegóły tła, które ja znam — odparł Law, — ale w miejscu takim jak to, w czasie gdy Kiti roją się wzdłuż całej granicy i w każdej chwili mogą się tu pojawić z dużymi siłami, Dentick jest niemal zagotowany. Nigdy nie był zbyt bystry, ani za bardzo odważny. W normalnej sytuacji, mógłby sobie diabelnie napaskudzić w rejestrach, gdyby zostawił resztki kompanii na pewną śmierć. Byłby zmuszony wyruszyć na

nasze poszukiwania, nieważne jak bardzo by mu się to nie podobało. Ale w obecnym stanie rzeczy, przy tej całej hordzie budowniczych imperium, biegających wokoło i wyrrywających sobie włosy z głów, a przy tym nikt nie jest tak do końca pewien co się dzieje, ma doskonałą możliwość do tego, by pokręcić z żalem głową, z oburzeniem wypowiedzieć się o „morderczych obcych”, wygłosić jakąś bełkotliwą gadkę o tym, jak nasza heroiczna walka do końca dostarcza świetlanego przykładu, a potem usiąść w swojej kwaterze głównej i nic nie zrobić. Uwierz mi, Ben, ja znam Denticka. Nigdy nie wyruszy, jeżeli nie będzie miał co najmniej regimentu na każdą kompanię wroga.

Splunął przez krawędź dołu.

— Przyjmując, że to jest prawda — zauważyłem, — w jaki sposób mam go przekonać, aby zaryzykował swój cenny tyłek?

Law skrzywił się.

— Obawiam się, że to już zależy tylko od ciebie. Jeżeli uda ci się wyrzucić na nim dostateczną presję, spowodować by zaczął się martwić, że możesz narobić wokół tego wielkiego smrodu, może podejmie ryzyko.

Grannery zasygnalizował ze swojego stanowiska. Chwyciłem dłoń Lawa i zamknąłem ją w swoich.

— Zrobię, co tylko się da — obiecałem.

---

Łazik podskoczył i zakręcił gąsienicami po szlaku. Kapral z ponurą zawziętością wczepił się w dźwignie przyrządów sterowniczych, a mnie pas fotela operatora działka przeciął niemal na pół. Plan Lawa zadziałał i miał on również rację, co do wielkości oddziałów Kiti. Przeżyliśmy trudne chwile, przygotowując łazik do jazdy, ale kiedy już przebiliśmy się przez Kiti i rozpędziliśmy do pełnej szybkości, podróż zmieniła się w wyczerpującą pośpieszną jazdę po krętym szlaku.

Zastanawiałem się, co się działo z Lawem. Ogień ze zboczy był morderczy i w pewnej chwili, kiedy kapral wyciągał łazika z pułapki, spojrzałem do tyłu przez ramię i wydawało mi się, że widziałem jak krępa postać majora pada

na ziemię. Natychmiast jednak zerwał się z powrotem na nogi i z ulgą otarłem pot spływający mi na szczękę.

Przetoczyliśmy się hurgotem przez kolejny grzbiet i na kilka sekund, zanim nie zjechaliśmy z powrotem w dolinę, dostrzegłem wieżę radiową Gryfa.

Z jakiegoś jednak powodu, chociaż tak od razu nie mogłem zgodzić się z logiką Lawą, nie potrafiłem również wyrzucić z głowy jego twierdzeń. Nie byłem w stanie pojąć, że pułkownik Dentick mógłby naprawdę zostawić kompanię na zagładę, ale im więcej o tym myślałem i składałem to z moją wiedzą na temat sposobu myślenia Denticka, tym bardziej mnie to wszystko niepokoiło.

Przedarliśmy się przez ostatnie skały i zaczęliśmy toczyć się po płaskiej równinie w stronę bazy. Klepnałem kaprała po plecach.

— Na Boga, dokonaliśmy tego! — krzyknąłem, a on w odpowiedzi szeroko się uśmiechnął. Zacząłem obmyślać sposoby przyciśnięcia Denticka.

Wtedy dostrzegłem siedzący na lądowisku transportowiec. Swoimi rozmiarami dominował nad zabudowaniami bazy, rzucając długi cień na budynek Administracji.

— Musiał przylecieć przed rozkładem — powiedział kapral. Na jego twarzy pojawiła się lekka zmarszczka. — Zaczekają, dopóki nie wydostaną majora, co nie? — spytał.

— Oczywiście, że czekają — odparłem.

Przejechaliśmy przez bramę i skierowaliśmy się do transportowca. Przy bramie nie było strażnika i nie widziałem żadnych ludzi kręcących się po bazie. Objechaliśmy narożnik koszar i wtedy zobaczyłem, dlaczego. Po rampie transportowca wchodził długi rząd ludzi z ekwipunkiem. Baza została porzucona.

— W górę, tą rampą — krzyknąłem do kaprała i nasze gąsienice zagrzechotały obok rzędu ludzi, wjeżdżając po metalowej rampie do środka statku.

Wyskoczyłem z łazika i podbiegłem do grupy oficerów. Dentick zauważył mnie i odwrócił się w moją stronę.

— Knowles! — powiedział. — A więc kolumna dotarła tutaj na czas. — Odwrócił głowę i zapytał oficera transportowca. — Komandorze Williams, to jest kapitan Knowles z kolumny z

huty metali. Czy może pan, jednak, zaaranżować przyjęcie na pokład również i jego kompanii?

---

**S**tałem, gapiąc się na niego. Oni byli gotowi odlecieć bez nas. Nawet gdybyśmy przybyli w zaplanowanym dla nas czasie, byłoby za późno.

— Pułkownik Dentick — szybko powiedziałem, — kolumny tutaj nie ma.

— Nie ma jej tutaj? — Odwrócił się z powrotem w moją stronę i popatrzył na mnie z zaskoczeniem. — A więc, co pan tutaj robi?

— Kolumna została odcięta i wciągnięta w pułapkę przez siły Kiti — odparłem. — Major Law próbował połączyć się z panem przez radio, ale zakłócenia były za silne.

Dentick zbladł.

— Kiti! Tutaj, na McMillenie? Komandorze, czy pan to słyszał? — On i oficer transportowca, pobiegli do szczytu rampy. — Wszyscy na pokład! — Dentick wrzasnął w stronę ludzi, którzy ciągle wchodzili po rampie na pokład. — Wszyscy natychmiast na górę! Szybciej, szybciej, ruszać się! — Pobiegłem za nimi.

— Czy nie wyruszy pan po majora Lawa i jego ludzi, sir? — krzyknąłem.

— Wyruszyć po Lawa? Człowieku, czyś ty zwariował? Całe siły główne Kiti są już w drodze na tę planetę. Jeżeli nie wystartujemy w ciągu pół godziny, sami znajdziemy się w pułapce. Nie może pan oczekiwać, że zaryzykuję życie personelu bazy i załogi transportowca, w celu ocalenia niedobitków jednej kompanii. W przypadku, z którym mamy do czynienia, muszę myśleć o odpowiedniej wadze strategicznej statku międzygwiazdowego i wyszkolonych ludzi, pozostających pod moim dowództwem. — Zaczął niecierpliwymi gestami poganiać wjeżdżającą po rampie ciężarówkę. — Bardzo mi przykro, panie kapitanie, ale Law po prostu będzie musiał zostać tam gdzie jest.

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem. Wtedy uświadomiłem sobie, że jednak Law, pomimo wszystko, miał

rację. Odwróciłem się od niego i poszedłem do łazika. Kapral zobaczył moją twarz.

— Oni mają zamiar zostawić tutaj majora, co nie? — powiedział.

Nic więcej nie mogłem zrobić, jak tylko skinąć głową. Obserwowałem ludzi maszerujących po rampie, przemieszanych z ludźmi wjeżdżającymi różnego rodzaju mobilnym sprzętem.

— Knowles! — Dentick zawołał z drugiego końca rampy. — Niech pan tu przyjdzie i pokieruje tym, dobrze? Komandor i ja musimy sprawdzić załadunek tego całego wyposażenia.

Podszedłem do rampy i zacząłem kierować ruchem. Spoglądałem na twarze ludzi, w miarę jak przechodzili rzędem koło mnie. Ich twarze były blade, a dłonie spoczywające na paskach karabinów, błyszczały od potu.

---

**U**słyszałem za sobą grzechotanie gąsienic łazika. Kapral siedział za przyrządami sterującymi, z zasuniętą przyłbicą, przesłaniającą twarz. Skierował łazik w dół po rampie i zaczął zjeżdżać w stronę ziemi. Ludzie i sprzęt uciekali mu pośpiesznie z drogi.

— Muszę zawiadomić o tym majora! — krzyknął w odpowiedzi na moje wołanie, a potem zwiększył szybkość do górnego limitu. Łazik zjechał na ziemię i pomknął przez ładowisko, a potem dalej, w kierunku gór.

Stałem, obserwując go, dopóki nie zniknął za rzędem budynków. Ludzie nieustannie przechodzili koło mnie rzędem, do środka transportowca, a słońce paliło mnie w twarz.

---

**I** to jest historia sławnej Straconej Kompanii. Podręczniki szkolne do historii są jej pełne, wszyscy jej żołnierze otrzymali Medal Honoru Kongresu, pośmiertnie.

Ja musiałem się zadowolić prezydenckim ułaskawieniem, po tym jak złamałem Dentickowi szczękę i za każdym razem kiedy słyszę o chwale wojny w kosmosie, o ogromnych flotach otaczających całe układy planetarne, o wspaniałych

---



## Cytadela

---

akcjach floty w głębinach międzygwiazdnych przestrzeni, w tej samej chwili natychmiast wstaję, wychodzę i idę się upić.

KONIEC

# Nieść cywizację

## (To Civilize)

*Po tak wielu latach, po tak wielu pokoleniach,  
Ziemia wracali do siebie – pokojowo  
podporządkowując się nakazowi wygnania. Co to  
miało znaczyć? Dlaczego Ziemia pozwoliła się  
wygnać?*

**N**ie było widać księżyca ani żadnej gwiazdy; niebo było całkowicie zachmurzone. Światła lądowiska kosmicznego tworzyły w górze żółto-biały parasol, rozpięty na srebrzystych refleksach rzucanych przez stojący na stanowisku startowym statek. Wielkie korbowody przy włączach ładunkowych, klekotały łańcuchami z dziwnie nieproporcjonalną głośnością. Z wyjątkiem stałego strumienia dźwięków wywołanych przez powstające w metalowych konstrukcjach naprężenia, lądowisko było niemal zupełnie ciche.

*Czy nie jest za cicho?* Pomyślał Deric. Czy nie jest to cisza czająca się przed frontem burzy, w oczekiwaniu by rozdarł ją na strzępy nagły podmuch zrywającego się wiatru, jak huragan wyrwijący się z tropików i z wyciem rzucający się na swoje ofiary?

*Czy właśnie w taki sposób ma się to zakończyć?* Deric oparł się całym ciężarem o balustradę tarasu widokowego, a jego biczowate ciało wyciągnęło się, jak mocno naprężona wstęga. Światła lądowiska odbijały się na wypolerowanej czerni jego boków i połyskiwały na bujnych srebrzystych pęcherzykach wyrastających na grzebieniu. *Czy takie właśnie jest przeznaczenie Ziemi?*

Oprócz kilku pełnych gracji ciał jego rodaków, którzy zarządzali milczącym strumieniem wózków z ładunkiem, wlewających się z zewnątrz do statku, na całym lądowisku nie było żywej duszy. Nawet za wielkimi wrotami włazów ładunkowych, nie dało się dojrzeć ani śladu ruchu. Pod nim, na parterze, Galaktycy czekali w swojej wielkiej hali na zakończenie załadunku. Wtedy rozpocznie się procesja ludzi, obciążonych bagażem osobistym, zmierzająca przez lądowisko do statku. Kobiety będą nieść lub prowadzić dzieci, zaś mężczyźni kroczyć u ich boku.

Z początku, kiedy nakaz został opublikowany, Deric spodziewał się, że mogą pojawić się kłopoty. Galaktycy nie byli specjalnie łagodną rasą. Chociaż byli dosyć niezależni jeśli chodzi o ich codzienne sprawy, a nawet czasami spierali się ostro między sobą, widział już, że każde zagrożenie spaja ich w jedną zwartą grupę, działającą z wysoką i swobodną efektywnością. A trzeba przyznać, że mieli wszelkie prawa, aby można było oczekiwać z ich strony jakiegoś rodzaju demonstracji.

Nie wydarzyło się nic. Galaktycy bez szemrania sprzedali swoją własność rządowi oraz szybko i w spokoju rozporządzili innym nie-kluczowym majątkiem. Ich dzieci zostały wycofane ze wszystkich klas i grup specjalnych, do których uczęszczały; powiedziano sobie do widzenia; i teraz, zaledwie miesiąc GST po wydaniu nakazu przez rząd Voroseii, Galaktycy opuszczali Voroseith, aby nigdy już tutaj nie wrócić.

*Nigdy?* Nawet w tej chwili, Deric nie był w stanie w to uwierzyć. Nakaz był jasny i miał obowiązek wykonalności, ale widział już w swoim życiu wiele praw łagodzonych lub uchylanych wraz z upływem czasu.

Albo, jeśli już o tym mówimy, znoszonych pod presją.

Czy tak będzie i z tym? Deric słyszał wiele opowieści o GSN i wielkich zielonych statkach, plujących ogniem słońc z niezliczonych dział. Czy ludzie z Ziemi nie opuszczają czasami Voroseith tylko po to, aby planeta ta stanęła otworem na bombardowanie z przestrzeni kosmicznej?

Nie, ta możliwość była już wcześniej długo rozważana i została odrzucona. To prawda, że żadna pojedyncza planeta nie była w stanie przeciwstawić się Federacji. Nie potrafiła tego dokonać nawet cała grupa układów słonecznych. Lekcja wynikająca z secesji Ardańskiej, ciągle była jeszcze świeża i budziła grozę. Ale bezpieczeństwo Voroseith leżało w samym fakcie, że była to pojedyncza planeta, stosunkowo mało ważna dla Federacji, jako całości. W porównaniu z flotą GSN, jej własna marynarka składała się z nieznaczącej garstki statków. Ale każdy z nich, statek w statek, był tak samo śmiertelnie niebezpieczny i cena ewentualnego podboju byłaby zbyt wysoka – zbyt wysoka w porównaniu z korzyściami, jakie mógłby on przynieść. Nie powinno być wojny.

A jednak... dlaczego nie było żadnych protestów? Galaktycy mieli tutaj, na Voroseith, domy i dobytek. Na tej planecie urodziły się i wychowały już wnuki Pierwszych Przybyszy. Całymi setkami zawiązały się przyjaźnie, relacje biznesowe, różnego rodzaju związki. Powszechnie kochana była tutaj tak dziwna, złożona forma sztuki, jaką była opera. Dericowi będzie brakować nowych librett pisanych przez Berkeleyya, ponieważ nikt inny nie potrafił równie dobrze pracować z Marto Lihhem.

Sama Federacja nie zrobiła kompletnie nic, poza przydzieleniem transportu. Wszystkie odniesienia do nakazu, miały charakter konwencjonalny, zdawkowy, tak jakby cała zaistniała sytuacja, była poza dyskusją.

Nie mógł pozwolić, aby Galaktycy odlecieli, pozostawiając go bez odpowiedzi. Odepchnął się od barierki i szybko ześlizgnął po rampie zejściowej, do pomieszczenia, w którym oczekiwali ludzie z Ziemi.

Tutaj również panowała cisza; nawet dzieci były bardzo spokojne. Galaktycy siedzieli rzędami na ławkach, zwróceniem do siebie twarzami ponad wąskimi przejściami. Nie było słyhać żadnych rozmów, ale grupy przyjaciół usiadły razem i

od czasu do czasu, ludzie wymieniali przez przejścia między ławkami uśmiechy czy skinięcia głową.

---

**K**iedy Deric wszedł do środka, w jego stronę odwróciło się kilka głów. Po rozpoznaniu go, na każdej z nich pojawił się przyjazny uśmiech. Kilku Ziemian oddaliło się od swoich grup i podeszło do niego.

— Deric! — To był Morris, jeden z ludzi, pracujących razem z nim w muzeum. Galaktyk szybko podszedł do niego i położył rękę za głową Derica, w spokojnym i przyjacielskim geście powitalnym. Deric delikatnie dotknął delikatnie swoją prawą ręką, ręki Ziemianina.

— Tak sobie myślałem, że może zajrzysz tu do nas — powiedział Morris. Jego twarz była pełna żalu, z powodu wyjazdu.

Teraz, kiedy znalazł się tutaj, wśród nich, Deric nawet jeszcze bardziej niż wcześniej poczuł niezwykłość tej sytuacji. Nigdy przedtem nie widział większej grupy Galaktyków, nie widząc pośród nich swoich rodaków. Poczuł się dziwnie, nagle uświadamiając sobie, że był to wybór wszystkich Galaktyków mieszkających na Voroseii – że większość tych ludzi znała się słabiej ze sobą, niż z poszczególnymi Voroseii, pomiędzy którymi żyli i pracowali. Tym niemniej, nagle stali się oni jednorodną i wydzieloną grupą, poprzez prosty fakt, że wszyscy byli Galaktykami.

Można było uznać cały ten problem, za coś w rodzaju intelektualnej zagadki, w świetle czynników ekonomicznych, które uczyniły niezbędnym wydanie takiego nakazu. Ale Morris był jego przyjacielem i współpracownikiem, tak więc sytuacja stała się osobistą, polegającą na utracie dobrego przyjaciela, na tym, że już nigdy więcej nie zobaczy jego rodziny, na konieczności przyzwyczajania się, że Dzień 184 GST nie był już urodzinami Susan Morris.

— Chciałem się z tobą zobaczyć — powiedział Deric. — Nie jestem pewien, czy powinienem być tutaj, ale... — Przerwał, niepewny swoich słów. — No cóż...

Morris uśmiechnął się.

— Dzięki, Deric.

Teraz z kolei, zaczęli wymieniać z nim pozdrowienia inni Galaktycy, którzy do niego podeszli. Każdy z nich, tak jak Morris, okazywał równie wielki żal jak sam Deric.

Zobaczył Berkeleyya, siedzącego z ponurym wzrokiem, samotnie na końcu ławki. *Jak on to odbiera?* zastanawiał się Deric. Zwrócił się do Morrisa.

— Ja... czy byłoby możliwe, żebym z nim porozmawiał? Przecież wiesz, jak bardzo podziwiam jego dzieła.

— Nic prostszego — odparł Morris. — Choć ze mną.

Deric podążył za swoim przyjacielem, przez podłogę poczekalni. Kiedy przechodził obok siedzących Galaktyków, bez trudu mógł dostrzec takie same ślady smutku w ich oczach — smutku, ale pozbawionego oznak protestu czy buntu.

Berkeley po słowach Morrisa uniósł wzrok.

— Deric Liss? — Przeniósł spojrzenie na Derica. — Oczywiście. — wyciągnął rękę i ciepło dotknął karku Derica. — Czytałem pańską „Historię Kultury”. Jedna z najbardziej wartościowych książek, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Dziękuję panu — powiedział Deric, z rozjarzonymi oczyma. Kompletnie zaambarasowany, poczuł, że jego ciało nieelegancko się przekrzywia. — Zawsze byłem wielbicielem pańskich dzieł — dorzucił, świadom niezgrabności swojego stwierdzenia. Ponieważ padło ono po komplementie Berkeleyya, zabrzmiało bardziej jak jakieś protekcyjne poklepanie po plecach, a nie szczerzy podziw, który miał zamiar wyrazić.

Berkeley jednak uśmiechnął się, skóra w kącikach oczu zmarszczyła mu się.

— Nigdy już nie będę miał okazji współpracy z kompozytorem takim jak Marto Lihh. — Ślad poprzedniego zamyślenia powrócił mu na twarz.

Deric już nie był w stanie utrzymać na wodzy swojego zainteresowania. Popatrzył na Morrisa i Berkeleyya.

— Nie mogę tego zrozumieć — oznajmił, głosem pełnym niepewności. — Dlaczego stąd odlatujecie? Albo, jeżeli już musicie odlecieć, dlaczego nie... — Pozostawił zdanie zawieszony w powietrzu. Nie pyta się człowieka dlaczego nie jest dotknięty niesprawiedliwością, którą mu się wyrządza.

— Dlaczego nie okazujemy naszej słynnej ziemskiej agresywności? — spytał, uśmiechając się, Berkeley.

— Tak. — Kompletnie zakłopotany, dodał jeszcze. — A pan, człowiek, który pozostawia tu wszystko co kochał i dla czego tworzył. Czy nie czuje pan co najmniej gniewu, za to co zrobiliśmy?

Berkeley pokręcił przecząco głową.

— Gniewu? Przecież wasza planeta jest przeludniona. W tym układzie nie ma innych planet nadających się do życia, a więc wszyscy, tak jak tu stoimy, konkurujemy z wami o tę przestrzeń życiową, która jeszcze pozostała. To całkowicie naturalne, że wasz rząd musi brać pod uwagę dobro swoich własnych obywateli. Pomimo wszystko, my jesteśmy tylko obcą rasą; to jest wasza planeta i macie prawo zrobić z nią to, co zechcecie. Z punktu widzenia pańskich rodaków, powiedziałbym, że nakaz naszego wyjazdu, był bardzo mądrym ruchem. Jestem pewien, że reszta z nas, odbiera to w taki sam sposób.

Morris potwierdził skinięciem głową.

— Ale Federacja...

— Federacja jest dokładnie tym, czym jest – to nie imperium. Macie przywileje związane z członkostwem... i również prawa — wskazał Berkeley. Jeżeli nawet czuł osobistą stratę, skrywał ją gdzieś w głębi siebie.

— Nadal nie rozumiem. Kiedy secesji dokonała grupa Ardańska, reszta Federacji odmówiła zgody na to — zauważył Deric.

---

**T**warz Berkeleya zachmurzyła się.

— Secesja Ardańska była zbrojnym powstaniem, zrodzonym ze sfrustrowanych ambicji i chorej żądzy władzy. Spowodowana została wyłącznie przez dążenie Ardan do odzyskania kontroli nad Federacją.

— Ale działania te w ich oczach, były równie usprawiedliwione jak nasze są w naszych — zaprotestował Deric.

Berkeley uniósł głowę.

— Być może... ale co pan powie o ardańskich rozłamowcach? Czy nie była to oznaka, że nawet sami Ardanie nie wszyscy zgadzali się z polityką własnego rządu?

— Ja też nie aprobuję działań naszego — odparł Deric.

Berkeley uśmiechnął się.

— Chodzi panu o to, że działania te uderzają pana, jako nazbyt skrajne; i uczucie to wzmacniane jest przez fakt, że poddaliśmy się nim bez żadnego przeciwdziałania, które mogłoby je emocjonalnie usprawiedliwiać. Gdybyśmy próbowali walczyć, mógłby pan przynajmniej poczuć, że pozbycie się tych kłótliwych Ziemi, może jednak przyniosło jakieś korzyści.

— Tak... — przyznał powoli Deric, mocno zawstydzony. Nigdy nie analizował tego aż tak dogłębnie.

— Ale nie jest pan aktywnie rozgniewany z powodu tego nakazu — kontynuował Berkeley. — Współczuje pan nam, ale nie uważa pan, aby ta sytuacja była oburzająca.

Galaktyk miał rację. Deric miał okazję ponownie poczuć skręcający wstyd.

— Nie wiem co powiedzieć — wymamrotał.

Librecista uśmiechnął się ponownie.

— Nie ma potrzeby — ciepło oznajmił. — Od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę, że pewnego dnia coś takiego nastąpi. Zaakceptowaliśmy to, tak więc, nie było to dla nas specjalnym wstrząsem.

Deric zauważył, że na pierwszy plan jego uczuć ponownie wysuwa się zaniepokojenie.

— Ale wobec tego, dlaczego w ogóle tutaj przybleciliście? Popatrzmy tylko na historię ostatnich trzech generacji. Po tym jak skontaktowaliśmy się przez statek próbnik, przybleciliście tutaj, osiedliście w obrębie naszej cywilizacji i zaczęliście żyć obok nas. Bardziej niż obok. Dążyliście do realizacji tego samego celu co my — do postępu voroseithańskiej kultury i cywilizacji. Zaczęliście mówić w naszym języku. Nigdy nie zrobiliście niczego, co przyniosłoby korzyści tylko Federacji, albo Ziemi. To wyglądało tak jak gdyby... jak gdyby sami staliście się Voroseii, i całkowicie przestali być obcymi przybyszami.

— To było wręcz trudne do uwierzenia. Spodziewaliśmy się nałożenia podatków albo jakiegoś rodzaju opłat.



Oczekiwaliśmy, że przyniesiecie nam swoją sztukę i swoje systemy naukowe, aby złączyć naszą kulturę z waszą. A teraz, wy sami, chociaż jesteście Galaktykami, to pomimo wszystko staliście się również Voroseii. Jeżeli wiedzieliście, że kiedyś będziecie musieli stąd odlecieć, to dlaczego uczyniliście Voroseith domem, dużo bardziej prawdziwym, niż była nim jakakolwiek inna planeta?

---

**P**rzez twarz Berkeleya, który pisał poezję taką, jaką mógłby napisać tylko Vorosei, myśląc w kategoriach skali sześciotonowej, przebiegł błysk smutku.

— Tak, jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogliście spodziewać się czegoś podobnego. Tak właśnie postępowali Ardanie, kiedy to oni kierowali Federacją. Masz rację i równocześnie jesteś w błędzie.

Uśmiechnął się niemal z żalem.

— Tak, Voroseith jest naszym domem i będziemy za nią tęsknić. Tym niemniej, jednak, pracowaliśmy dla dobra Federacji. Musieliśmy zachowywać się tak, jakbyśmy mieli zamieszkać tutaj na zawsze – więcej niż zachowywać się, musieliśmy uwierzyć, że na zawsze tutaj zamieszkamy. Mieliśmy poświęcić całą naszą energię i zapał, aby pracować dla rozwoju Voroseith. To był... — Zawahał się i, przez chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz zagubienia. — To był dla nas prawdziwy szok, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nasza praca została zakończona, że Voroseith jest już gotowa do wyjścia w przestrzeń międzygwiazdną.

— W przestrzeń międzygwiazdną? — Deric poczuł, że plecy wyginają mu się w łuk, ze zdziwienia.

Morris skinął potwierdzająco głową.

— Ten moment się zbliża. To dlatego musieliście mieć swoją własną Marynarkę. Dzięki niej opracowaliście niezbędne techniki.

— Ale Galaktyką rządzi Federacja. Czy pozwolicie nam wkroczyć na wasze terytorium?

Znowu odpowiedział mu Berkeley.

— Federacja nie rządzi niczym. Nie można nikomu narzucić cywilizacji siłą. Teraz wasza kolej, jako członków

ruchu cywilizacyjnego, aby wyruszyć w kosmos i przekazać to co posiadacie innym ludom. Kosmos jest pełen planet i ludów. Ziemia kieruje Federacją, to prawda, ale nią nie rządzi – nie robi tego nikt. Wypracowujemy pewne wspólne więzy cywilizacyjne między nami – ale mówimy tu o cywilizacji jako o pojęciu abstrakcyjnym – nie jako o sztywnym uniwersalnym wzorcu jakiegoś rodzaju, do którego każda odmienna kultura musi zostać przekuta i siłą dopasowana, wtłoczona w jakieś sztywne ramy, do których nigdy specjalnie nie pasowała.

– Nie próbowaliśmy przecież zmusić was, abyście prowadzili swoje sprawy na nasz sposób, co nie? – spytał Morris.

Deric pomachał przecząco ręką.

– Nie... nie, nie robiliście tego. Uczyliście się od nas, a potem staliście się tylko grupą osób pracujących nad polepszeniem poziomu naszej cywilizacji. Przynieśliście ze sobą świeże spojrzenie na wiele problemów; ale było to spojrzenie wyrastające z korzeni naszej cywilizacji, nie waszej.

Przerwał.

Zatrzeszczał głośnik:

– Cały ładunek został już załadowany na statek. Pasażerowie proszeni są o przejście na pokład. – Głos dyspozytora stracił swoją bezosobowość. Kolejny Vorosei mówiący do widzenia swoim przyjaciółom. – Żegnajcie, Ziemianie.

Rzędy siedzących Galaktyków, wstały, nadal w niesamowitej ciszy, pomimo szurania butów, hałasu przesuwanych i podnoszonych bagaży.

– A więc, teraz będziemy w kosmosie obok was? – spytał Berkeleya Deric.

Galaktyk przytaknął głową.

– Kiedy grupy, takie jak nasza, opuszczają jakąś planetę, to historyczny znak, że inna rasa gotowa jest wyruszyć do gwiazd, cywilizowana, aby nieść cywilizację.

Deric poczuł napływ wzbierającej w nim dumy.

– Czyli, to był etap, tak samo jak okres ze statkiem próbnikiem, w trakcie którego zostaliśmy wyszkoleni.

**M**orris pokręcił przecząco głową.

— Nie wyszkoleni. Statek próbnik był testem, to prawda – ale testem zaprojektowanym tak, by mierzyć tylko waszą zdolność do zrozumienia pojęcia istnienia innych ras poza waszą, oraz gotowości do przyjęcia faktu, że podróże międzygwiazdne są możliwe. Dlaczego mielibyśmy was szkolić? Nasza cywilizacja pod żadnym względem nie jest lepsza od waszej – a w dodatku w kosmosie jest tak wiele różnych ras, zaś Ziemiaków tak dalece za mało, by nawet w minimalnym stopniu usprawiedliwić jakąkolwiek próbę skłonienia was, do załatwiania waszych spraw w sposób, w jaki robimy to na Ziemi.

— Nie, my zostaliśmy tutaj wysłani wyłącznie w celu przyzwyczajenia was, do pracy u boku innych ras. Nie jesteśmy instruktorami – jesteśmy współpracownikami.

Większość Galaktyków przeszła już przez drzwi, które prowadziły na dwór, na lądowisko. Morris i Berkeley ponownie dotknęli karku Deric.

— Do widzenia, Deric — powiedział Morris.

Berkeley nagle sięgnął do swojego bagażu i wyciągnął plik ręcznie zapisanych kartek.

— Chciałbym, żebyś to przyjął, Deric.

Deric spojrział na górę pierwszej strony.

— Ależ... ależ to jest oryginalny rękopis Eposu Llersthein!

Berkeley skinął głową.

— Weź. Ja znam to na pamięć. A tam, gdzie lecę, nikt tak naprawdę tego nie rozumie.

Deric popatrzył na Galaktyka. Ponure oczy, odpowiedziały mu spojrzeniem, i, chociaż tak naprawdę nie był to ktoś z jego rodaków – a teoretycznie wyraz twarzy przedstawicieli jednej rasy powinien być niezrozumiały dla pochodzących z innych – Deric odczytał, co leżało w umyśle stojącym za tym spojrzeniem; nawet nie przyszło mu do głowy, że w fakcie tym, było coś nadzwyczajnego.

— Dziękuję — powiedział i układem dłoni oraz skrętem ciała przekazał Berkeleyyowi, jakie emocje kryły się za tym słowem.

Dwaj Galaktycy wzięli swoje bagaże, zarzucili je sobie na ramię i dołączyli do czekających na nich członków rodzin.

Deric został tam gdzie stał, przyglądając się jak odchodzą, przez cały czas próbując uchwycić to, co na wpół dostrzegał, na wpół rozumiał. Wiedział również, że chodziło o coś istotnego. Wyjaśniało to, bardziej niż smutek, panującą w poczekalni ciszę, dziwne uczucie, które rozbiło Galaktyków na wiele małych grup, ograniczających się do członków rodziny oraz najbliższych przyjaciół.

Tak jakby byli w niebezpieczeństwie...

Strach! Oni się czegoś bali! Morris, Berkeley – wszyscy.

Zobaczył, że doszli już do drzwi i czekają aż wyjdą ich rodziny. Napiął mięśnie i rzucił się do przodu gwałtownym ślizgiem.

— Poczekajcie!

Berkeley i Morris odwrócili się do niego, z pytającymi twarzami.

— A dokąd wy się udacie? — zapytał Deric. — Co macie zamiar dalej robić?

— Nie wiem — odparł Berkeley.

— Po prostu, nie wiem — powtórzył powoli. — Mają nas zabrać na Ziemię.

Teraz Deric widział już wyraźnie niepewność w ich oczach, wahanie oraz zimną iskierkę lęku.

— Musimy już iść — z nagłą szorstkością oznajmił Morris. Szorstkością będącą wynikiem napiętych jak struny nerwów, gotowych grać i wibrować, czekających tylko na jeszcze jeden dodatkowy kamyczek do spoczywającego na nich brzemienia, aby pęknąć i strzelić ze śmiertelnie niebezpiecznym skutkiem.

Berkeley uśmiechnął się do Derica, ale wzdłuż jego szczęki wyraźnie widać było białe plamy. Łagodnie położył rękę na karku Derica.

— Lubię to miejsce — ze smutkiem wyznał. — Urodziłem się tutaj, tak samo jak mój ojciec. — Wyjrzał przez panele drzwi, i, dokładnie w tej samej chwili, w chmurach pojawiła się dziura, przez którą wlało się światło gwiazd.

Berkeley skrzywił się, jakby go coś uderzyło. Potem otrząsnął się i szeroko się uśmiechnął – był to bojowy

uśmiech, znak firmowy Ziemian. Tym niemniej w jego głosie słychać było cień udręki, kiedy stwierdził:

— Zastanawiam się, jaka ta Ziemia będzie.

— Chodźmy! — powiedział Morris i na wpół przepchnął Berkeleya przez drzwi. Morris uniósł dłoń w ostatnim pożegnaniu skierowanym do Derica, a potem z ręką na ramieniu Berkeleya, odwrócił się i machnął przepaszająco za nerwowość ich przyjaciela.

Deric spoglądał za nimi, czując pierwsze przebłyski zrozumienia, przesączające się do jego świadomości, i zdając sobie sprawę z tego, że te przebłyski spotężnieją i połączą się w prawdziwą rzekę. Kiedy to się stanie, lepiej żeby był bardzo, bardzo zajęty jakąś pracą, której nie może popsuć drżenie rąk, ani rozmyty wzrok.

Jak to niedawno posiedział dyspozytor? „Żegnajcie Ziemianie?” Pokręcił głową, z nabytą ziemską manierą, odwrócił się i pomknął w górę rampy, na taras obserwacyjny. Przyglądał się, jak ostatni Galaktycy zmierzają do oczekującego na nich statku.

— Żegnajcie Vorosei — powiedział miękko, kiedy jego bracia szli bez słowa protestu na wygnanie.

KONIEC.

# Któż by niepokoił Gusa?

Nobody Bothers Gus

Dwa lata temu Gus Kusevic jechał powoli wąską boczną drogą do Boonesboro.

Tutaj warto było jechać powoli, zwłaszcza późną wiosną. Poza nim na drodze nie było nikogo. Las właśnie rozkwitał ciemną soczystą zielenią, jeszcze nie spaloną przez lato, a popołudnia były nadal chłodne i świeże. Zanim zaś Gus dotarł do granic Boonesboro, zobaczył domek na sprzedaż stojący na ćwierćakrowej działce.

Łagodnie zatrzymał samochód, obrócił się bokiem na siedzeniu i popatrzył na domek.

Trzeba by go pomalować; biała farba ze ścian zszarzała, a dobry stan należał już do przeszłości. Na dachu ślady po brakujących gdzieś gontach tworzyły ciemne kwadraty na tle zbielałego od słońca cedru. Niektóre szyby oczywiście popękały. Nie rozsunał się jednak sam szkielet domu, dach się nie zapadł. Komin trzymał się prosto.

Gus spojrział na rzadkie kępy zarośli i kopki zgrabionego siana; tylko tyle pozostało z krzewów i trawnika. Jego szeroka, dobroduszna twarz złożyła się do uśmiechu wzdłuż głębokich bruzd. Aż zaswędziały go ręce, by chwycić za łopatę.

Wysiadł z samochodu, przeciął drogę idąc ku drzwiom domku i z kartki przyklepionej do framugi przepisał nazwisko

pośrednika. Dziś minęły już prawie dwa lata od tamtej chwili, był początek kwietnia i Gus nawoził trawnik.

Rankiem, obok sterty próchnicy za domkiem ustawił przegrodę; przerzucał przez nią ziemię, mieszał z rozkruszonym torfem i wywoził na trawnik rozmieszczając w małych kupkach. Teraz rozgrabiał ją dokładnie na młodej trawie cienką warstwą, która przykrywała tylko korzenie, a źdźbła mogły się przez nią łatwo przebić. Zamierzał skończyć, zanim rozpocznie się druga połowa meczu baseballowego między Gigantami a Kodiakami. Zależało mu, by go obejrzeć, ponieważ w Kodiakach rzucał Halsey, a Gus żywił wobec niego niejako matczyne uczucie.

Pracował bez zbędnych ruchów, nie tracąc nadmiernie energii. Raz czy dwa przerwał, by napić się piwa w cieniu krzewu róży, który zasadził koło drzwi frontowych. Słońce jednak prażyło i wczesnym popołudniem zdjął koszulę.

Na krótko przed zakończeniem pracy u wejścia wylądował podniszczony wiropląt. Zaparkował z szumem rotorów, a ze środka wygramolił się kościsty mężczyzna w znoszonym garniturze z serży, o rzadkich włosach przyklepionych do wąskiej głowy. Mężczyzna popatrzył niepewnie na Gusa.

Gus zdążył się już wcześniej przyjrzeć gratowi, kiedy ten cicho podchodził do lądowania. Dostrzegł ledwie widoczne „Urząd Okręgu Falmouth” wymalowane na wyblakłym lakierze, wzruszył ramionami i wrócił do przerwanego zajęcia.

Gus był wysokim mężczyzną. Miał potężne, szerokie bary, rozrosłą klatkę piersiową pokrytą gęstymi stalowoszarymi włosami. Z biegiem lat urósł mu nieco brzuch, ale pod skórą wciąż jeszcze kryły się mięśnie. Ramiona miał grubsze niż uda u wielu ludzi i olbrzymie dłonie.

Twarz pokrywała siatka fałd i zmarszczek. Płaskie policzki znaczyły dwie głębokie bruzdy, które biegnąc od zakrzywionego nosa zlewały się ze zmarszczkami okalającymi szerokie wargi i podążały ku zaokrągleniu szczęki. Zmarszczki żłobiły też wystające kości policzkowe, a ponad nimi pobłyskiwały blado-niebieskie oczy. Krótko przystrzyżone włosy były białe jak śnieg.

Jedynie długotrwałe i dokuczliwe działanie słońca mogło jego ciało nadać opaleniznę, ale twarz była zawsze brązowa. Różowość spalonego słońcem ciała przerywały w wielu

miejskach białe blizny. Nad spodniami wyłaniała się cienka szrama od cięcia nożem, która zniknęła gdzieś po prawej stronie brzucha. Inne wyraźne blizny przecinały nierówne kostki dłoni o grubych palcach.

Urzędnik spojrzął na skrzynkę pocztową, by sprawdzić nazwisko; porównał je z kopertą, którą trzymał w ręku. Stał i ponownie spojrzął na Gusa, z jakiegoś powodu zdenerwowany.

Gus zdał sobie nagle sprawę, że pewnie swoim wyglądem nie wzbudza zaufania. Od grabienia i przesypywania ziemi w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Pył, zmieszany z potem, pokrywał całą jego twarz, tors, ręce i plecy. Gus wiedział, że nawet w swoim najlepszym i najczystszej ubraniu nie wygląda zbyt ujmująco. Teraz więc nie mógł mieć pretensji do urzędnika, że ten czuje się nieswojo.

Próbował uśmiechnąć się zachęcająco.

Urzędnik oblizał wargi, lekko odchrząknął i skinął głową w kierunku skrzynki pocztowej.

— Kusevic? To pan?

— Zgadza się — potwierdził Gus. — Czym mogę służyć?

Urzędnik wyciągnął rękę z kopertą.

— Mam dla pana zawiadomienie z Rady Okręgu — wymamrotał. Znacznie bardziej jednak absorbował go wysiłek, by zestawić Gusa z tym, co go otaczało: krzew róży, starannie uformowane i pieczołowicie wypielęgnowane rabaty, żywopłoty, ścieżki z kamiennych płyt, pod wierzbą mała sadzawka ze złotymi rybkami, biało pomalowany domek ze skrzynkami na kwiaty w oknach i jasnymi żaluzjami, firanki ukazujące wnętrza za błyszczącymi szybami.

Gus czekał, aż mężczyzna skończy te naturalne porównania, ale gdzieś w środku zrodziło się ciche westchnienie. Widział podobne zaskoczenie u tak wielu ludzi, że już się prawie do niego przyzwyczyił. Nie przestało mu to być jednak obojętne.

— No cóż, wejdźmy do środka — rzekł po odpowiednio długiej chwili. — Tu jest dość gorąco, a w lodówce mam piwo.

Urzędnik ponownie się zawahał.

— Miałem tylko dostarczyć ten papier — powiedział wciąż się rozglądając. — Nieźle to pan urządził, nie powiem.



— W końcu to mój dom — uśmiechnął się Gus. — Człowiek lubi przecież ładnie mieszkać. Śpieszy się pan?

Urzędnika jakby zaniepokoiło coś w słowach Gusa. Nagle podniósł głowę, uświadamiając sobie, że pytanie było skierowane bezpośrednio do niego.

— Co?

— Mam nadzieję, że się pan nie śpieszy. Proszę do środka, napijemy się piwa. Nie musi pan chyba nigdzie pędzić w takie wiosenne popołudnie.

Urzędnik uśmiechnął się zażenowany.

— Nie, no tak, ma pan rację. — Nagle jego twarz się rozjaśniła. — No dobra.

Gus wprowadził go do domu, uśmiechając się z zadowoleniem. Nikt nie widział jego mieszkania, jak już je urządził: urzędnik był pierwszym gościem od momentu, kiedy się tu sprowadził. Nie zaglądał tu nawet żaden dostawca.

— Boonesboro było taką dziurą, że po zakupy trzeba było jeździć samemu. Poczty też nikt nie rozwoził, a do Gusa i tak listy nie przychodziły. Wprowadził urzędnika do salonu.

— Proszę usiąść. Zaraz wracam.

Poszedł prosto do kuchni, wyciągnął piwo z lodówki. Postawił na tacy szklanki, miseczkę chrupek i precelków, piwo i zaniósł to wszystko do pokoju.

Urzędnik stał przyglądając się książkom, które pokrywały dwie ściany salonu.

Widząc jego twarz Gus uświadomił sobie ze szczerym smutkiem, że urzędnik nie jest z tych, którzy mogliby wątpić, czy ktoś najwyraźniej tak przeciętny jak Kusevic przeczytał choć jedną z tych książek. Z takim, jeśli już się obali jego wstępne błędne poglądy, dałoby się jeszcze pogadać. Nie, urzędnik po prostu zbyt banalnie się zdziwił, że dorosły mężczyzna może się grzebać w książkach. Zwłaszcza ktoś taki jak Gus; no, jeden z tych dzieciaków bawiących się w politykę na uczelni to co innego. Ale człowiek dorosły nie powinien tak robić.

Gus zdał sobie sprawę z pomyłki w ocenie urzędnika — nie trzeba się było zbyt wiele po nim spodziewać. Powinien się od razu zorientować, niezależnie od tego, czy ma ochotę z kimś pogadać, czy nie. Zawsze tęsknił do towarzystwa i

najwyższa pora uświadomić sobie, że go po prostu nie znajdzie.

Postawił tacę, szybko otworzył piwo i podał je mężczyźnie.

— Dziękuję — wymamrotał urzędnik. Pociągnął łyk, głośno westchnął i otarł usta wierzchem dłoni. Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju.

— Sporo to musiało kosztować.

Gus wzruszył ramionami.

— Większość rzeczy sam zrobiłem, na przykład półki, meble. Musiałem kupić trochę obrazków, książki, no i płyty.

Urzędnik chrząknął. Wyraźnie czuł się nieswojo, prawdopodobnie z powodu zawiadomienia, które przywiózł. Gus zaczął się zastanawiać, co to może być, ale skoro już popełnił ten błąd, że poczęstował faceta piwem, musi uprzejmie poczekać, aż tamten skończy, zanim go spyta.

Podszedł do telewizora.

— Lubi pan baseball?

— Pewnie!

— Właśnie leci mecz Gigantów z Kodiakami. — Włączył telewizor, wyciągnął podnózek i usiadł na nim, żeby nie zabrudzić któregoś z krzesel. Urzędnik przysunął się i na stojąco patrzył na ekran, wolno popijając piwo.

Kiedy odbiornik się nagrzał, trwała już druga część, a na ekranie pojawiła się znajoma postać Halseya. Gibki leworęczny młodzieniec rzucał tak jak zawsze, poruszając się, jakby nie miał kości, na pozór bez większego wysiłku, ale piłka mijała odbijających ze świstem, który wychwytywał wyraźnie nawet odległy mikrofon.

— Nieźle rzuca, co? — Gus ruchem głowy wskazał na Halseya.

— Owszem. — Urzędnik wzruszył ramionami. — Ale najlepszy jest Walker.

Gus westchnął, bo uświadomił sobie, że znowu się zapomniał. To zrozumiałe, że urzędnik nie zwraca zbyt wiele uwagi na Halseya.

Powoli zaczynał go irytować ten człowiek ze swą z góry ustaloną opinią na temat tego, co złe, a co dobre, i kto ma niby prawo hodować róże, a kto nie.

— Może pan pamięta zeszłoroczne wyniki Halseya? — spytał.

— Niespecjalnie. — Urzędnik wzruszył ramionami. — Ale chyba nie najgorsze. Trzyście siedem, czy coś takiego.

No cóż, Gus znowu miał rację!

— Hm. A Walker?

— Ach, Walker! Człowieku! Wygrał jakieś dwadzieścia pięć spotkań. I miał trzy bomby. No wie pan! Też pytanie!

— Owszem, jest niezły — Gus pokręcił głową. — Ale takich rzutów nie miał. I wygrał tylko osiemnaście meczów.

Urzędnik zmarszczył czoło. Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale się rozmyślił. Wyglądał jak facet, który stawał na pewniaka i nagle zorientował się, że pamięć go zawiodła.

— No tak, może pan ma i rację. Ki diabeł, skąd mi przyszło do głowy, że to Walker? I wie pan co? Całą zimę się o nim gadało i nikt słowa nie powiedział, że się mylę. — Podrapał się w głowę. — Ale ktoś te punkty zdobył. Kto to był, do diabła? — Nachmurzył się zamyślony.

Gus spokojnie się przyglądał, jak Halsey eliminuje trzeciego z kolei zbijającego, i jego twarz wolno pofałdowała się w uśmiechu. Halsey był wciąż młody — w sile wieku. Rzucił się w wir gry z całą energią i radością człowieka, który uświadamia sobie, że jest u szczytu formy. I tam, na tym nasłonecznionym wzgórku wiedział, że nigdy nie było lepszego od niego w tej specjalności.

Zastanawiał się, kiedy Halsey zauważy, że zastawił pułapkę sam na siebie.

Bo dla Halseya nie była to rywalizacja. Nie. Dla Christy Mathewsona, owszem, dla Lefty Grove'a i dla Dizzy Deana, Boba Feller'a i dla Słatsa Goulda to było współzawodnictwo. Ale dla Halseya był to po prostu skomplikowany pasjans, który mu zawsze wychodził.

Wkrótce zda sobie sprawę, że w pasjansie trudno o handicap. Jeśli wiesz, gdzie są wszystkie karty, a nie oszukujesz samego siebie, możesz jedynie wygrać — tylko po co? Pewnego dnia Halsey uświadomi sobie, że nie ma gry, w której by nie zwyciężył, czy będzie to sportowe współzawodnictwo — zorganizowane i formalnie uznane

zawody, czy też maszyna z miliardami ruchomych pionków, zwana Społeczeństwem.

I wtedy co, Halsey? Co wtedy? A gdy znajdziesz na to odpowiedź, to w imię łączących nas więzów, obojętnie jakich, daj mi z łaski swojej znać.

— No, to chyba nie ma znaczenia — mruknął urzędnik. — Takie rzeczy można przecież sprawdzić w tabeli wyników.

Owszem, można, skomentował Gus w duchu. Ale nie zauważysz, co to oznacza, a jeśli zauważysz, to i tak zapomnisz, i nie będziesz nawet wiedział, że zapomniałeś.

Urzędnik skończył piwo, odstawił je na tacę i mógł już sobie przypomnieć, po co przyszedł. Raz jeszcze rozejrzył się po pokoju, jakby w pamięci szukał jakiejś wskazówki.

— Ale tu książek — zauważył.

Gus skinął głową, przyglądając się jednocześnie Halseyowi, kiedy wchodził na wzgórek miotacza.

— Przeczytał je pan?

Zaprzeczył.

— A ta, Millera? Podobno niezła?

A więc objawiał pewne wąskie zainteresowanie pewnymi aspektami pewnego typu literatury.

— Chyba tak — odpowiedział Gus zgodnie z prawdą. — Przeczytałem kiedyś trzy pierwsze strony.

I potem wiedział już, jak się potoczy akcja, kto co zrobi i kiedy, i przestała go interesować. Książki to był błąd, tak samo zresztą, jak i kilka innych podobnych eksperymentów. Jeśli chciał dogłębnie zapoznać się z literaturą ludzi, mógł tę wiedzę zdobyć przerzucając książki w księgarniach, a nie kupując je, bo w domu robił praktycznie to samo. I tak, choćby nie wiem, jak się starał, nie wykrzesze z siebie żadnych emocji.

Ale gdyby się nad tym zastanowił: rzędy nawet bezużytecznych książek są lepsze niż goła ściana. Dostojeństwo kultury stanowi pewną ostoję, mimo że jest to kultura baaana, a nie przeżywana, i znaczy dla niego niewiele więcej niż kultura Inków. Choćby nie wiem co, nigdy nie mógłby być Inka. Ani nawet Majem czy Aztekiem, ani żadnym ich krewniakiem, chyba że jakąś tam najmniej istotną częścią swego ja.

Ale własnej kultury nie miał. W tym rzecz: pustka, która mimo wszystko boli; nigdzie nie zapaścił korzeni, o żadnym miejscu nie mógł powiedzieć: należy do mnie.

Halsey trzema rzutami wyeliminował pierwszego zbijającego. Potem wolno umieścił piłkę dokładnie tam, gdzie następny gracz mógł ją jak najlepiej uderzyć, i nie spojrzął nawet, kiedy ze świstem wyfrunęła z boiska. Następnym dwóm graczom wyeliminował ośmioma rzutami.

Gus wolno pokręcił głową. Oto pierwszy symptom: nie dbasz już o zachowanie pozorów dla swego handicapu.

Urzędnik wręczył mu kopertę.

— Proszę — rzucił obcesowo najwidoczniej podjąwszy decyzję, pomimo wyraźnych obaw, jaka będzie reakcja Gusa.

Gus otworzył kopertę i przeczytał zawiadomienie. A potem, dokładnie tak samo, jak przed chwilą urzędnik, rozejrzał się po pokoju. Przez jego twarz musiał przemknąć cień, bo urzędnik poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

— Chciałbym... chciałbym powiedzieć, że bardzo mi przykro. Jak zresztą nam wszystkim.

— Tak, oczywiście — Gus pośpiesznie skinął głową. Wstał i wyjrzał na ogródek przed domem. Uśmiechnął się krzywo patrząc na cienką warstwę ziemi starannie rozrzuconą na pieczołowicie wywalcowanym trawniku, powoli nabierającym kształtu tam, gdzie w ubiegłym roku go przeorał, gdzie wybrał kamienie, posiał i podlewał trawę, przekopał ziemię, zasadził klomby... ech, nie ma co się już teraz nad tym zastanawiać. Cała działka, dom, wszystko szło pod buldożer — i koniec.

— Drogę... przerabiają na dwunastopasmową autostradę dla ciężarówek — wyjaśnił urzędnik.

Gus skinął głową z roztargnieniem. Urzędnik podszedł bliżej i zniżył głos.

— Niech pan posłucha. Kazali mi to panu powiedzieć, nie chcieli pisać...

— Przysunął się jeszcze bliżej i rozejrzał, nim zaczął mówić. Położył poufale rękę na nagim przedramieniu Gusa.

— Może pan zażądać dowolnej sumy — wymamrotał. — Oczywiście bez przesady. Rozumie pan, płaci za to nie okrąg, ani nawet stan.

Gus rozumiał. Dwunastopasmówki buduje tylko rząd federalny. Zrozumiał jeszcze więcej. Nie buduje ich bez przyczyny.

— Autostrada między Hallister a Farnham? — spytał.

Urządник zbladł.

— Nic pewnego mi nie wiadomo — wymruczał.

Gus uśmiechnął się niewyraźnie. Niech się facet głowi, jak do tego doszedł. Trudno to zresztą będzie utrzymać w tajemnicy, kiedy się już zacznie budowa i wszystko stanie się jasne. Poza tym urzędnik nie będzie długo sobie zaprzętał tym głowy.

Nagle Gusa opanowała ogromna chęć przekory. Jej źródła upatrywał w złości na to, że traci domek, ale nie widział powodu, żeby sobie trochę nie pofolgować.

— Jak się nazywasz? — spytał obcesowo.

— Harry... Harry Danvers.

— Słuchaj, Harry, wyobraź sobie, że gdybym tylko chciał, mógłbym zatrzymać budowę tej autostrady. Przypuśćmy, że żaden buldożer nie mógłby się tutaj zbliżyć bez awarii. Przypuśćmy, że żadna koparka nie zagłębiłaby tu łyżki w ziemię, że laski dynamitu po prostu by nie wybuchały. Przypuśćmy, że gdyby ją już zbudowali, mógłbym ją rozpuścić jak lody waniliowe i spłynęłaby jak rzeka.

— Co takiego?

— Daj mi pióro.

Danvers automatycznie wyciągnął rękę i wręczył mu pióro. Gus włożył je między dłonie i utoczył z niego kulkę. Upuścił ją i złapał, kiedy sprężyste odbiła się od miękkiego, grubego dywanu. Rozciągnął ją palcami i powróciła do swego cylindrycznego kształtu. Zdjął nakrętkę, dwoma palcami spłaszczył ją na blaszkę, coś na niej nagryzmolił, z powrotem utoczył z niej nakrętkę i posługując się paznokciem wybrał atrament, który teraz stanowił jej cząstkę, by na stałe wpisać imię Danversa tuż pod metalową powierzchnią. Nałożył nakrętkę z powrotem i wręczył pióro urzędnikowi.

— Na pamiątkę — rzucił.

Urządник spojrzał na pióro.

— No i jak? — spytał Gus. — Czy nie ciekawi cię, jak to zrobiłem i kim jestem?

Urządnik potrząsnął głową.

— Niezła sztuczka. Wy magicy musicie pewnie dużo trenować. Ja chyba nie mógłbym tyle czasu poświęcać na swoje hobby.

— Oto właściwe, rozsądne, praktyczne podejście do sprawy — przytaknął Gus. Szczególnie, kiedy my wszyscy automatycznie tłumimy ciekawość, pomyślał. Czy mógłbyś mieć inny punkt widzenia?

Ponad ramieniem urzędnika spojrzął na trawnik i kącikiem ust skrzywił się ponuro.

Tylko Bóg może stworzyć drzewo, pomyślał patrząc na krzewy i klomby. Czy wszyscy zatem powinniśmy próbować swych sił w uprawianiu ogrodów krajobrazowych? Czy mamy stać się ogrodnikami bogatych istot ludzkich, które mieszkają w swych ekskluzywnych domach, jeździć starymi, zardzewiałymi ciężarówkami, oliwić kosiarki, klęcząc na ludzkich trawnikach i szczękając nożycami, podchodzić do drzwi kuchennych prosząc o łyk wody w czasie upalnego, letniego dnia?

Autostrada. Tak. Mógł ją zatrzymać. Albo sprawić, żeby go ominęła. Nie można wyłączyć pola tłumienia ciekawości, tak jak i siłą woli nie można zatrzymać swego serca, ale można podwyższyć napięcie. Mógłby zmusić swój umysł, by pracował na granicy przeciążenia, i nikt by nie zauważył domku, trawnika, krzewu róży, czy pokiereszowanego starca popijającego piwo. A gdyby nawet widział, nie zwróciłby na to wszystko uwagi.

Ale jeśli tylko pojedzie do miasta czy umrze, pole przestanie istnieć. I co wtedy? Ciekawość, dochodzenie, gdzieś strzępek jakiejś teorii, którą można by dopasować do innej. A potem? Pogrom?

Pokręcił głową. Ludzie nie byli w stanie wygrać, odnieśliby druzgocącą porażkę. Właśnie dlatego nie może zostawić im żadnych wskazówek. Nie gustował w rzezi niewiniątek i wąpił, żeby jego współbracia to lubili.

Ach, współbracia! Zacisnął usta. Pewność miał tylko co do Halseya. Musieli też być i inni, ale nie potrafił ich odnaleźć. Nie wywoływali w ludziach żadnych reakcji, nie pozostawiali po sobie żadnego śladu. I tylko wtedy, kiedy tak jak Halsey pokazywali się publicznie, można ich było zauważyć.



Niestety, nie istniała między nimi żadna prywatna linia telepatyczna.

Zastanawiał się, czy Halsey wierzy, że ktoś zwróci na niego uwagę i skontaktuje się z nim. Zastanawiał się, czy tamten w ogóle podejrzewa, że są inni, tacy jak on. Zastanawiał się, czy na przykład jego ktoś zauważył, kiedy nazwisko Kusevic sporadycznie pojawiało się w gazetach.

Oto świt mojej rasy, pomyślał. Pierwsze pokolenie — na pewno? A zresztą, czy to ma jakieś znaczenie? — ciekawe też, gdzie są kobiety.

— Chcę tyle, ile zapłaciłem — odwrócił się ponownie do urzędnika. Ani grosza więcej.

Mężczyzna szerzej otworzył oczy, potem odetchnął i wzruszył ramionami.

— Jak pan chce. Na pana miejscu dobrze bym ich oskubał.

Tak, pomyślał Gus, nie mam co do tego wątpliwości. Ale ja nie, bo przecież dzieciom nie zabiera się zabawek.

A więc superman pakuje walizki i usuwa się ludziom z drogi. Gus zdusił bezgłośny śmiech. Pole tłumiące. Pole tłumiące. Po trzykroć przekłete, odwiecznie dobroczynne, niezawodne, autonomiczne, ochronne pole tłumiące!

Ewolucja niestety nie uświadomiła sobie jeszcze, że istnieje coś takiego, jak społeczeństwo ludzi. Wyprodukowała istotę, która w jakimś sensie różni się od ich stada, i tym samym osiągnęła praktycznie „psi”. Aby osłonić ten słaby gatunek, którego przedstawiciele byli tak strasznie nieliczni, obdarzyła ich doskonałymi barwami ochronnymi.

Wynik: Kiedy młodego Augustyna Kusevica zapisano do szkoły, okazało się, że nie ma świadectwa urodzenia. Żaden szpital nie odnotował jego narodzin. Co gorsza, jego ludzkim rodzicom zdarzało się całymi dniami nie pamiętać o jego istnieniu.

Wynik: Kiedy młody Gussie Kusevic próbował zapisać się do szkoły średniej, okazało się, że przedtem nie uczęszczał do podstawówki. Mimo że mógł wymienić nazwiska nauczycieli, podręczniki czy numery klas. Mimo że mógł przedstawić świadectwa. Wkładano je do złych teczek, a uciążliwe rozmowy egzaminacyjne szły w zapomnienie. Nikt nie wątpił w jego istnienie; ludzie pamiętali fakt, że był, że



coś robił, że z nim coś robiono, ale tylko tak jakby czytali o tym w jakiejś potwornie nudnej książce.

Nie miał przyjaciół, dziewczyny; nie znał przeszłości, chwili obecnej, miłości. Nie miał swojego miejsca. Może jakiegoś kumpla znalazłby pośród duchów, gdyby istniały.

Kiedy wkroczył w wiek młodości, stwierdził, że absolutnie nic go nie łączy z gatunkiem ludzkim. Zajmował się nim, ponieważ stanowił widoczny element jego środowiska. Nie współżył z nim. Ludzie nie byli w stanie dać mu niczego, co miałyby dla niego jakąś wartość. Ich motywacje, moralność, zachowanie nie wywoływały w nim najmniejszej reakcji. I oczywiście to, co on reprezentował, na nich nie robiło absolutnie żadnego wrażenia.

Życie chłopca w starożytnej Babilonii interesuje zaledwie kilku historyków antropologów, z których żaden faktycznie nie chciałby tym chłopcem być.

Kiedy dzięki swej beznamiętnej postawie ustalił wzór dla ludzkiej społeczności i nie traktował tego z większym przejęciem niż przyrodnik, który odkrywa, że jelenie wyjątkowo lubią zielone liście osiki, postanowił się wyżyć fizycznie. Odkrył dreszcz emocji w prowokowaniu bólek i zwycięstwach, w zmuszaniu ludzi, by zwracali na niego uwagę, kiedy im rozkwasał nos.

Zostałby może stałym bywalcem doków Manhattanu, gdyby inny robotnik portowy nie przejechał go nożem do cięcia kartonów. Reguły gry były jasne. Musiał go zabić.

I to był koniec toczonych dziko bijatyk. Odkrył, nie tyle z przerażeniem, co z niesmakiem, że morderstwo może mu ująć na sucho. Nie było żadnego dochodzenia; nikt nawet nie próbował go szukać.

Taki był więc koniec, który doprowadził go jednak do wyrwania się w jedyny możliwy sposób z pułapki, w jakiej się znalazł. W sytuacji, gdy rywalizacja intelektualna nie wchodziła w grę, pozostawało uprawianie sportu. Wyczyny sportowe, ukierunkowujące jego energię i odnotowywane w stercie wycinków prasowych, utworzyły pierwszą w jego życiu ciągłość. Ludzie nadal zapominali o jego osiągnięciach, lecz kiedy zaglądali do tabel wyników, jego imię było tam czarno na białym. Akta można przełożyć do innej teczki. Świadectwa szkolne mogą zniknąć. Ale pole tłumienia nie wystarczy, by

zamknąć w szufladach stertę gazet czy listy wyników, które przeciętny nawet sportowiec ciągnie za sobą jak kulę u nogi.

Gusowi zdawało się — i wiele się nad tym zastanawiał — że w przypadku męskiego przedstawiciela jego gatunku taki rozwój osobniczy jest czymś oczywistym. Kiedy trzy lata temu odkrył Halseya, znalazł potwierdzenie swojej hipotezy. Ale jaki pożytek może mieć z Halseya inny męski osobnik? Żeby się jakoś wzajemnie pocieszać? Nie miał najmniejszego zamiaru się z nim kontaktować.

Urzędnik chrząknął. Zaskoczony Gus gwałtownie obrócił się w jego kierunku. Zapomniał o nim.

— Chyba już pójdę. Proszę pamiętać — ma pan tylko dwa miesiące.

Gus wykonał jakiś nieokreślony gest. Facet dostarczył to pismo. Czemu nie uzna więc, że spełnił swoje zadanie, i już sobie nie pójdzie?

Uśmiechnął się ponuro. A jakież zadanie mógł mieć Homo nondescriptus, dokąd właściwie zmierzał? Halsey schodził już ze wzgórką po wyznaczonej trasie. Czy byli inni? Jeśli tak, musieli znajdować się gdzieś obok, w następnej koleinie, i nie było widać nawet czubków ich głów. Istoty jego gatunku mogły się nawzajem rozpoznać jedynie drogą szczegółowej eliminacji — musiały szukać tych, których nikt nie zauważa.

Otworzył urzędnikowi drzwi, zobaczył drogę i jego myśli znów powróciły do autostrady.

Będzie biegła od Hallister, węzła kolejowego, do bazy lotniczej w Farnham; tam właśnie, według jego dużo wcześniejszych obliczeń socjomatematycznych, miał zostać skonstruowany i wystrzelony pierwszy statek międzygwiazdny. Ciężarówki będą dudnić po autostradzie wrzucając w paszczę molocho ludzi i budulec.

Zwilżył wargi. Gdzieś tam, w Kosmosie, gdzieś poza Układem Słonecznym żyje inna rasa. Ślady jej bytności tutaj są aż nadto wyraźne. Ludzie mieli się z nią zmierzyć i znów potrafił przewidzieć wynik: ludzie wygrają.

Gus nie mógł odpowiedzieć na wyzwanie, które niewątpliwie kryło się pośród gwiazd. Kariera Kusevica nie docierała do świadomości kibiców, mimo że jemu udało się zapełnić całe skoroszyty notatkami i wycinkami. Halsey,

który spokojnie pobił wszelkie rekordy w baseballu, znany był jako „niezły miotacz ligi krajowej”.

Jakimi referencjami mógłby poprzeć swoje podanie o przyjęcie do lotnictwa? Nawet gdyby je znalazł, czy ktoś by o nich pamiętał następnego dnia? Jak wyglądałby rejestr jego szczepień, kontroli lekarskich, szkoleń? Kto pamiętałby o tym, żeby zarezerwować dla niego koję, załadować zapasy, uwzględnić jego osobę przy planowaniu rezerwy tlenu?

Na gapę? Nic łatwiejszego. Ale kto miałby umrzeć, aby w ścisłym harmonogramie przydziałów zmieścić się on? Którą owcę trzeba by wydać na rzeź, i wreszcie ostatnie pytanie — w jakim pożytecznym celu?

— A więc do zobaczenia — rzucił urzędnik.

— Do widzenia — odpowiedział.

Urzędnik ruszył chodnikiem w kierunku wiroplątu.

Wydaje mi się, skomentował Gus w duchu, że dużo lepiej byłoby dla nas, gdyby ewolucja, miast chronić, więcej się o nas troszczyła. Pogrom od czasu do czasu nie zrobiłby nam nic złego. Getto zaś przynajmniej rozwiązuje problem kojarzenia par.

Nasze ziarno padło na ziemię kamienistą.

Nagle Gus, pchnięty myślą, której nie starał się nawet nazwać, rzucił się przed siebie. Zajrzał przez uchylone drzwiczki wiroplątu, a urzędnik spojrzał na niego załęczniony.

— Jesteś kibicem sportowym — rzucił Gus pośpiesznie, uświadamiając sobie, że jego głos brzmi zbyt natarczywie, że urzędnika przeraża jego siła.

— Zgadza się — odpowiedział tamten prostując się nerwowo na siedzeniu.

— Kto jest mistrzem świata w wadze ciężkiej?

— Mike Frazier. A co?

— Z kim wygrał walkę o tytuł? Kto był przed nim?

Urzędnik zacisnął usta.

— Hm, to już tyle lat temu. Nie pamiętam. Ale mógłbym to chyba sprawdzić.

Gus ochłonął powoli. Odwrócił się bokiem i popatrzył na domek, trawnik, klomby, ścieżkę, krzew róży, sadzawkę pod wierzbą...

— Nieważne — rzucił i ruszył w kierunku domu, a wiropląt wzleciał kołyszając się niepewnie.

Telewizor huczał. Gus sprawdził stan meczu.

Poszło szybko. Halsey miał jak na razie jedną bombę, a miotacz Gigantów spisał się prawie równie dobrze. Był remis 1:1, ostatnia zmiana w dziewiątej rundzie, Giganci byli w obronie. Kamera zjechała na twarz Halseya.

Halsey popatrzy Któż by niepokoił Gusa?

Dwa lata temu Gus Kusevic jechał powoli wąską boczną drogą do Boonesboro.

Tutaj warto było jechać powoli, zwłaszcza późną wiosną. Poza nim na drodze nie było nikogo. Las właśnie rozkwitał ciemną soczystą zielenią, jeszcze nie spaloną przez lato, a popołudnia były nadal chłodne i świeże. Zanim zaś Gus dotarł do granic Boonesboro, zobaczył domek na sprzedaż stojący na ćwierćakrowej działce.

Łagodnie zatrzymał samochód, obrócił się bokiem na siedzeniu i popatrzył na domek.

Trzeba by go pomalować; biała farba ze ścian zszarzała, a dobry stan należał już do przeszłości. Na dachu ślady po brakujących gdzieś gontach tworzyły ciemne kwadraty na tle zbielałego od słońca cedru. Niektóre szyby oczywiście popękały. Nie rozsunął się jednak sam szkielet domu, dach się nie zapadł. Komin trzymał się prosto.

Gus spojrzął na rzadkie kępy zarośli i kopki zgrabionego siana; tylko tyle pozostało z krzewów i trawnika. Jego szeroka, dobroduszna twarz złożyła się do uśmiechu wzdłuż głębokich bruzd. Aż zaswędziały go ręce, by chwycić za łopatę.

Wysiadł z samochodu, przeciął drogę idąc ku drzwiom domku i z kartki przyczepionej do framugi przepisał nazwisko pośrednika. Dziś minęły już prawie dwa lata od tamtej chwili, był początek kwietnia i Gus nawoził trawnik.

Rankiem, obok sterty próchnicy za domkiem ustawił przegrodę; przerzucał przez nią ziemię, mieszał z rozkruszonym torfem i wywoził na trawnik rozmieszczając w małych kupkach. Teraz rozgrabiał ją dokładnie na młodej trawie cienką warstwą, która przykrywała tylko korzenie, a źdźbła mogły się przez nią łatwo przebić. Zamierzał skończyć, zanim rozpocznie się druga połowa meczu baseballowego

między Gigantami a Kodiakami. Zależało mu, by go obejrzyć, ponieważ w Kodiakach rzucał Halsey, a Gus żywił wobec niego niejako matczyne uczucie.

Pracował bez zbędnych ruchów, nie tracąc nadmiernie energii. Raz czy dwa przerwał, by napić się piwa w cieniu krzewu róży, który zasadził koło drzwi frontowych. Słońce jednak prażyło i wczesnym popołudniem zdjął koszulę.

Na krótko przed zakończeniem pracy u wejścia wylądował podniszczony wiropląt. Zaparkował z szumem rotorów, a ze środka wygramolił się kościsty mężczyzna w znoszonym garniturze z serży, o rzadkich włosach przyklepionych do wąskiej głowy. Mężczyzna popatrzył niepewnie na Gusa.

Gus zdążył się już wcześniej przyjrzeć gratowi, kiedy ten cicho podchodził do lądowania. Dostrzegł ledwie widoczne „Urząd Okręgu Falmouth” wymalowane na wyblakłym lakierze, wzruszył ramionami i wrócił do przerwanej zajęcia.

Gus był wysokim mężczyzną. Miał potężne, szerokie bary, rozrosłą klatkę piersiową pokrytą gęstymi stalowoszarymi włosami. Z biegiem lat urósł mu nieco brzuch, ale pod skórą wciąż jeszcze kryły się mięśnie. Ramiona miał grubsze niż uda u wielu ludzi i olbrzymie dłonie.

Twarz pokrywała siatka fałd i zmarszczek. Płaskie policzki znaczyły dwie głębokie bruzdy, które biegnąc od zakrzywionego nosa zlewały się ze zmarszczkami okalającymi szerokie wargi i podążały ku zaokrągleniu szczęki. Zmarszczki żłobiły też wystające kości policzkowe, a ponad nimi pobłyskiwały blado-niebieskie oczy. Krótko przystrzyżone włosy były białe jak śnieg.

Jedynie długotrwałe i dokuczliwe działanie słońca mogło jego ciało nadać opaleniznę, ale twarz była zawsze brązowa. Różowość spalonego słońcem ciała przerywały w wielu miejscach białe blizny. Nad spodniami wyłaniała się cienka szrama od cięcia nożem, która zniknęła gdzieś po prawej stronie brzucha. Inne wyraźne blizny przecinały nierówne kostki dłoni o grubych palcach.

Urzędnik spojrzał na skrzynkę pocztową, by sprawdzić nazwisko; porównał je z kopertą, którą trzymał w ręku. Stał i ponownie spojrzał na Gusa, z jakiegoś powodu zdenerwowany.

Gus zdał sobie nagle sprawę, że pewnie swoim wyglądem nie wzbudza zaufania. Od grabienia i przesypywania ziemi w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Pył, zmieszany z potem, pokrywał całą jego twarz, tors, ręce i plecy. Gus wiedział, że nawet w swoim najlepszym i najczystszej ubraniu nie wygląda zbyt ujmująco. Teraz więc nie mógł mieć pretensji do urzędnika, że ten czuje się nieswojo.

Próbował uśmiechnąć się zachęcająco.

Urzędnik oblizał wargi, lekko odchrząknął i skinął głową w kierunku skrzynki pocztowej.

— Kusevic? To pan?

— Zgadza się — potwierdził Gus. — Czym mogę służyć?

Urzędnik wyciągnął rękę z kopertą.

— Mam dla pana zawiadomienie z Rady Okręgu — wymamrotał. Znacznie bardziej jednak absorbował go wysiłek, by zestawić Gusa z tym, co go otaczało: krzew róży, starannie uformowane i pieczołowicie wypielęgnowane rabaty, żywopłoty, ścieżki z kamiennych płyt, pod wierzbą mała sadzawka ze złotymi rybkami, biało pomalowany domek ze skrzynkami na kwiaty w oknach i jasnymi żaluzjami, firanki ukazujące wnętrza za błyszczącymi szybami.

Gus czekał, aż mężczyzna skończy te naturalne porównania, ale gdzieś w środku zrodziło się ciche westchnienie. Widział podobne zaskoczenie u tak wielu ludzi, że już się prawie do niego przyzwyczaił. Nie przestało mu to być jednak obojętne.

— No cóż, wejdźmy do środka — rzekł po odpowiednio długiej chwili. — Tu jest dość gorąco, a w lodówce mam piwo.

Urzędnik ponownie się zawahał.

— Miałem tylko dostarczyć ten papier — powiedział wciąż się rozglądając. — Nieźle to pan urządził, nie powiem.

— W końcu to mój dom — uśmiechnął się Gus. — Człowiek lubi przecież ładnie mieszkać. Śpieszy się pan?

Urzędnika jakby zaniepokoiło coś w słowach Gusa. Nagle podniósł głowę, uświadamiając sobie, że pytanie było skierowane bezpośrednio do niego.

— Co?

— Mam nadzieję, że się pan nie śpieszy. Proszę do środka, napijemy się piwa. Nie musi pan chyba nigdzie pędzić w takie wiosenne popołudnie.

Urzędnik uśmiechnął się zażenowany.

— Nie, no tak, ma pan rację. — Nagle jego twarz się rozjaśniła. — No dobra.

Gus wprowadził go do domu, uśmiechając się z zadowoleniem. Nikt nie widział jego mieszkania, jak już je urządził: urzędnik był pierwszym gościem od momentu, kiedy się tu sprowadził. Nie zaglądał tu nawet żaden dostawca.

— Boonesboro było taką dziurą, że po zakupy trzeba było jeździć samemu. Poczty też nikt nie rozwoził, a do Gusa i tak listy nie przychodziły. Wprowadził urzędnika do salonu.

— Proszę usiąść. Zaraz wracam.

Poszedł prosto do kuchni, wyciągnął piwo z lodówki. Postawił na tacy szklanki, miseczkę chrupek i precelków, piwo i zaniósł to wszystko do pokoju.

Urzędnik stał przyglądając się książkom, które pokrywały dwie ściany salonu.

Widząc jego twarz Gus uświadomił sobie ze szczerym smutkiem, że urzędnik nie jest z tych, którzy mogliby wątpić, czy ktoś najwyraźniej tak przeciętny jak Kusevic przeczytał choć jedną z tych książek. Z takim, jeśli już się obali jego wstępne błędne poglądy, dałoby się jeszcze pogadać. Nie, urzędnik po prostu zbyt banalnie się zdziwił, że dorosły mężczyzna może się grzebać w książkach. Zwłaszcza ktoś taki jak Gus; no, jeden z tych dzieciaków bawiących się w politykę na uczelni to co innego. Ale człowiek dorosły nie powinien tak robić.

Gus zdał sobie sprawę z pomyłki w ocenie urzędnika — nie trzeba się było zbyt wiele po nim spodziewać. Powinien się od razu zorientować, niezależnie od tego, czy ma ochotę z kimś pogadać, czy nie. Zawsze tęsknił do towarzystwa i najwyższa pora uświadomić sobie, że go po prostu nie znajdzie.

Postawił tacę, szybko otworzył piwo i podał je mężczyźnie.

— Dziękuję — wymamrotał urzędnik. Pociągnął łyk, głośno westchnął i otarł usta wierzchem dłoni. Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju.



— Sporo to musiało kosztować.

Gus wzruszył ramionami.

— Większość rzeczy sam zrobiłem, na przykład półki, meble. Musiałem kupić trochę obrazków, książki, no i płyty.

Urzędnik chrząknął. Wyraźnie czuł się nieswojo, prawdopodobnie z powodu zawiadomienia, które przywiózł. Gus zaczął się zastanawiać, co to może być, ale skoro już popełnił ten błąd, że poczęstował faceta piwem, musi uprzejmie poczekać, aż tamten skończy, zanim go spyta.

Podszedł do telewizora.

— Lubi pan baseball?

— Pewnie!

— Właśnie leci mecz Gigantów z Kodiakami. — Włączył telewizor, wyciągnął podnózek i usiadł na nim, żeby nie zabrudzić któregoś z krzesel. Urzędnik przysunął się i na stojąco patrzył na ekran, wolno popijając piwo.

Kiedy odbiornik się nagrzał, trwała już druga część, a na ekranie pojawiła się znajoma postać Halseya. Gibki leworęczny młodzieniec rzucał tak jak zawsze, poruszając się, jakby nie miał kości, na pozór bez większego wysiłku, ale piłka mijała odbijających ze świstem, który wychwytywał wyraźnie nawet odległy mikrofon.

— Nieźle rzuca, co? — Gus ruchem głowy wskazał na Halseya.

— Owszem. — Urzędnik wzruszył ramionami. — Ale najlepszy jest Walker.

Gus westchnął, bo uświadomił sobie, że znowu się zapomniał. To zrozumiałe, że urzędnik nie zwraca zbytnej uwagi na Halseya.

Powoli zaczynał go irytować ten człowiek ze swą z góry ustaloną opinią na temat tego, co złe, a co dobre, i kto ma niby prawo hodować róże, a kto nie.

— Może pan pamięta zeszłoroczne wyniki Halseya? — spytał.

— Niespecjalnie. — Urzędnik wzruszył ramionami. — Ale chyba nie najgorsze. Trzynaście-siedem, czy coś takiego.

No cóż, Gus znowu miał rację!

— Hm. A Walker?

— Ach, Walker! Człowieku! Wygrał jakieś dwadzieścia pięć spotkań. I miał trzy bomby. No wie pan! Też pytanie!



— Owszem, jest niezły — Gus pokręcił głową. — Ale takich rzutów nie miał. I wygrał tylko osiemnaście meczów.

Urzędnik zmarszczył czoło. Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale się rozmyślił. Wyglądał jak facet, który stawał na pewniaka i nagle zorientował się, że pamięć go zawiodła.

— No tak, może pan ma i rację. Ki diabeł, skąd mi przyszło do głowy, że to Walker? I wie pan co? Całą zimę się o nim gadało i nikt słowa nie powiedział, że się mylę. — Podrapał się w głowę. — Ale ktoś te punkty zdobył. Kto to był, do diabła? — Nachmurzył się zamyślony.

Gus spokojnie się przyglądał, jak Halsey eliminuje trzeciego z kolei zbijającego, i jego twarz wolno pofałdowała się w uśmiechu. Halsey był wciąż młody — w sile wieku. Rzucił się w wir gry z całą energią i radością człowieka, który uświadamia sobie, że jest u szczytu formy. I tam, na tym nasłonecznionym wzgórku wiedział, że nigdy nie było lepszego od niego w tej specjalności.

Zastanawiał się, kiedy Halsey zauważy, że zastawił pułapkę sam na siebie.

Bo dla Halseya nie była to rywalizacja. Nie. Dla Christy Mathewsona, owszem, dla Lefty Grove'a i dla Dizzy Deana, Boba Feller'a i dla Slat'a Goulda to było współzawodnictwo. Ale dla Halseya był to po prostu skomplikowany pasjans, który mu zawsze wychodził.

Wkrótce zda sobie sprawę, że w pasjansie trudno o handicap. Jeśli wiesz, gdzie są wszystkie karty, a nie oszukujesz samego siebie, możesz jedynie wygrać — tylko po co? Pewnego dnia Halsey uświadomi sobie, że nie ma gry, w której by nie zwyciężył, czy będzie to sportowe współzawodnictwo — zorganizowane i formalnie uznane zawody, czy też maszyna z miliardami ruchomych pionków, zwana Społeczeństwem.

I wtedy co, Halsey? Co wtedy? A gdy znajdziesz na to odpowiedź, to w imię łączących nas więzów, obojętnie jakich, daj mi z łaski swojej znać.

— No, to chyba nie ma znaczenia — mruknął urzędnik. — Takie rzeczy można przecież sprawdzić w tabeli wyników.

Owszem, można, skomentował Gus w duchu. Ale nie zauważysz, co to oznacza, a jeśli zauważysz, to i tak zapomnisz, i nie będziesz nawet wiedział, że zapomniałeś.

Urzędnik skończył piwo, odstawił je na tacę i mógł już sobie przypomnieć, po co przyszedł. Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju, jakby w pamięci szukał jakiejś wskazówki.

— Ale tu książek — zauważył.

Gus skinął głową, przyglądając się jednocześnie Halseyowi, kiedy wchodził na wzgórek miotacza.

— Przeczytał je pan?

Zaprzeczył.

— A ta, Millera? Podobno niezła?

A więc objawiał pewne wąskie zainteresowanie pewnymi aspektami pewnego typu literatury.

— Chyba tak — odpowiedział Gus zgodnie z prawdą. — Przeczytałem kiedyś trzy pierwsze strony.

I potem wiedział już, jak się potoczy akcja, kto co zrobi i kiedy, i przestała go interesować. Książki to był błąd, tak samo zresztą, jak i kilka innych podobnych eksperymentów. Jeśli chciał dogłębnie zapoznać się z literaturą ludzi, mógł tę wiedzę zdobyć przerzucając książki w księgarniach, a nie kupując je, bo w domu robił praktycznie to samo. I tak, choćby nie wiem, jak się starał, nie wykrzesze z siebie żadnych emocji.

Ale gdyby się nad tym zastanowić: rzędy nawet bezużytecznych książek są lepsze niż goła ściana. Dostojeństwo kultury stanowi pewną ostoję, mimo że jest to kultura baaana, a nie przeżywana, i znaczy dla niego niewiele więcej niż kultura Inków. Choćby nie wiem co, nigdy nie mógłby być Inka. Ani nawet Majem czy Aztekiem, ani żadnym ich krewniakiem, chyba że jakąś tam najmniej istotną częstką swego ja.

Ale własnej kultury nie miał. W tym rzecz: pustka, która mimo wszystko boli; nigdzie nie zapaścił korzeni, o żadnym miejscu nie mógł powiedzieć: należy do mnie.

Halsey trzema rzutami wyeliminował pierwszego zbijającego. Potem wolno umieścił piłkę dokładnie tam, gdzie następny gracz mógł ją jak najlepiej uderzyć, i nie spojrzął nawet, kiedy ze świstem wyfrunęła z boiska. Następnym dwóch graczy wyeliminował ośmioma rzutami.

Gus wolno pokręcił głową. Oto pierwszy symptom: nie dbasz już o zachowanie pozorów dla swego handicapu.

Urzędnik wręczył mu kopertę.

— Proszę — rzucił obcesowo najwidoczniej podjąwszy decyzję, pomimo wyraźnych obaw, jaka będzie reakcja Gusa.

Gus otworzył kopertę i przeczytał zawiadomienie. A potem, dokładnie tak samo, jak przed chwilą urzędnik, rozejrzał się po pokoju. Przez jego twarz musiał przemknąć cień, bo urzędnik poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

— Chciałbym... chciałbym powiedzieć, że bardzo mi przykro. Jak zresztą nam wszystkim.

— Tak, oczywiście — Gus pośpiesznie skinął głową. Wstał i wyjrzał na ogródek przed domem. Uśmiechnął się krzywo patrząc na cienką warstwę ziemi starannie rozrzuconą na pieczołowicie wywalcowanym trawniku, powoli nabierającym kształtu tam, gdzie w ubiegłym roku go przeorał, gdzie wybrał kamienie, posiał i podlewał trawę, przekopał ziemię, zasadził klomby... ech, nie ma co się już teraz nad tym zastanawiać. Cała działka, dom, wszystko szło pod buldożer — i koniec.

— Drogę... przerabiają na dwunastopasmową autostradę dla ciężarówek — wyjaśnił urzędnik.

Gus skinął głową z roztargnieniem. Urzędnik podszedł bliżej i zniżył głos.

— Niech pan posłucha. Kazali mi to panu powiedzieć, nie chcieli pisać...

— Przysunął się jeszcze bliżej i rozejrzał, nim zaczął mówić. Położył poufale rękę na nagim przedramieniu Gusa.

— Może pan zażądać dowolnej sumy — wymamrotał. — Oczywiście bez przesady. Rozumie pan, płaci za to nie okrąg, ani nawet stan.

Gus rozumiał. Dwunastopasmówki buduje tylko rząd federalny. Zrozumiał jeszcze więcej. Nie buduje ich bez przyczyny.

— Autostrada między Hallister a Farnham? — spytał.

Urzędnik zbladł.

— Nic pewnego mi nie wiadomo — wymruczał.

Gus uśmiechnął się niewyraźnie. Niech się facet głowi, jak do tego doszedł. Trudno to zresztą będzie utrzymać w tajemnicy, kiedy się już zacznie budowa i wszystko stanie się

jasne. Poza tym urzędnik nie będzie długo sobie zaprzętał tym głowy.

Nagle Gusa opanowała ogromna chęć przekory. Jej źródła upatrywał w złości na to, że traci domek, ale nie widział powodu, żeby sobie trochę nie pofolgować.

— Jak się nazywasz? — spytał obcesowo.

— Harry... Harry Danvers.

— Słuchaj, Harry, wyobraź sobie, że gdybym tylko chciał, mógłbym zatrzymać budowę tej autostrady. Przypuśćmy, że żaden buldożer nie mógłby się tutaj zbliżyć bez awarii. Przypuśćmy, że żadna koparka nie zagłębiłaby tu łyżki w ziemię, że laski dynamitu po prostu by nie wybuchwały. Przypuśćmy, że gdyby ją już zbudowali, mógłbym ją rozpuścić jak lody waniliowe i spłynęłaby jak rzeka.

— Co takiego?

— Daj mi pióro.

Danvers automatycznie wyciągnął rękę i wręczył mu pióro. Gus włożył je między dłonie i utoczył z niego kulkę. Upuścił ją i złapał, kiedy sprężyste odbiła się od miękkiego, grubego dywanu. Rozciągnął ją palcami i powróciła do swego cylindrycznego kształtu. Zdjął nakrętkę, dwoma palcami spłaszczył ją na blaszkę, coś na niej nagryzmołił, z powrotem utoczył z niej nakrętkę i posługując się paznokciem wybrał atrament, który teraz stanowił jej cząstkę, by na stałe wpisać imię Danversa tuż pod metalową powierzchnią. Nałożył nakrętkę z powrotem i wręczył pióro urzędnikowi.

— Na pamiątkę — rzucił.

Urzędnik spojrzał na pióro.

— No i jak? — spytał Gus. — Czy nie ciekawi cię, jak to zrobiłem i kim jestem?

Urzędnik potrząsnął głową.

— Niezła sztuczka. Wy magicy musicie pewnie dużo trenować. Ja chyba nie mógłbym tyle czasu poświęcać na swoje hobby.

— Oto właściwe, rozsądne, praktyczne podejście do sprawy — przytaknął Gus. Szczególnie, kiedy my wszyscy automatycznie tłumimy ciekawość, pomyślał. Czy mógłbyś mieć inny punkt widzenia?

Ponad ramieniem urzędnika spojrzał na trawnik i kącikiem ust skrzywił się ponuro.

Tylko Bóg może stworzyć drzewo, pomyślał patrząc na krzewy i klomby. Czy wszyscy zatem powinniśmy próbować swych sił w uprawianiu ogrodów krajobrazowych? Czy mamy stać się ogrodnikami bogatych istot ludzkich, które mieszkają w swych ekskluzywnych domach, jeździć starymi, zardzewiałymi ciężarówkami, oliwić kosiarki, klęcząc na ludzkich trawnikach i szczękając nożycami, podchodzić do drzwi kuchennych prosząc o łyk wody w czasie upalnego, letniego dnia?

Autostrada. Tak. Mógł ją zatrzymać. Albo sprawić, żeby go ominęła. Nie można wyłączyć pola tłumienia ciekawości, tak jak i siłą woli nie można zatrzymać swego serca, ale można podwyższyć natężenie. Mógłby zmusić swój umysł, by pracował na granicy przeciążenia, i nikt by nie zauważył domku, trawnika, krzewu róży, czy pokiereszowanego starca popijającego piwo. A gdyby nawet widział, nie zwróciłby na to wszystko uwagi.

Ale jeśli tylko pojedzie do miasta czy umrze, pole przestanie istnieć. I co wtedy? Ciekawość, dochodzenie, gdzieś strzępek jakiejś teorii, którą można by dopasować do innej. A potem? Pogrom?

Pokręcił głową. Ludzie nie byli w stanie wygrać, odnieśliby druzgocącą porażkę. Właśnie dlatego nie może zostawić im żadnych wskazówek. Nie gustował w rzezi niewiniątek i wątpił, żeby jego współbracia to lubili.

Ach, współbracia! Zacisnął usta. Pewność miał tylko co do Halseya. Musieli też być i inni, ale nie potrafił ich odnaleźć. Nie wywoływali w ludziach żadnych reakcji, nie pozostawiali po sobie żadnego śladu. I tylko wtedy, kiedy tak jak Halsey pokazywali się publicznie, można ich było zauważyć. Niestety, nie istniała między nimi żadna prywatna linia telepatyczna.

Zastanawiał się, czy Halsey wierzy, że ktoś zwróci na niego uwagę i skontaktuje się z nim. Zastanawiał się, czy tamten w ogóle podejrzewa, że są inni, tacy jak on. Zastanawiał się, czy na przykład jego ktoś zauważył, kiedy nazwisko Kusevic sporadycznie pojawiał się w gazetach.

Oto świt mojej rasy, pomyślał. Pierwsze pokolenie — na pewno? A zresztą, czy to ma jakieś znaczenie? — ciekawe też, gdzie są kobiety.

— Chcę tyle, ile zapłaciłem — odwrócił się ponownie do urzędnika. Ani grosza więcej.

Mężczyzna szerzej otworzył oczy, potem odetchnął i wzruszył ramionami.

— Jak pan chce. Na pana miejscu dobrze bym ich oskubał.

Tak, pomyślał Gus, nie mam co do tego wątpliwości. Ale ja nie, bo przecież dzieciom nie zabiera się zabawek.

A więc superman pakuje walizki i usuwa się ludziom z drogi. Gus zdusił bezgłośny śmiech. Pole tłumiące. Pole tłumiące. Po trzykroć przeklęte, odwiecznie dobroczynne, niezawodne, autonomiczne, ochronne pole tłumiące!

Ewolucja niestety nie uświadomiła sobie jeszcze, że istnieje coś takiego, jak społeczeństwo ludzi. Wyprodukowała istotę, która w jakimś sensie różni się od ich stada, i tym samym osiągnęła praktycznie „psi”. Aby osłonić ten słaby gatunek, którego przedstawiciele byli tak strasznie nieliczni, obdarzyła ich doskonałymi barwami ochronnymi.

Wynik: Kiedy młodego Augustyna Kusevica zapisano do szkoły, okazało się, że nie ma świadectwa urodzenia. Żaden szpital nie odnotował jego narodzin. Co gorsza, jego ludzkim rodzicom zdarzało się całymi dniami nie pamiętać o jego istnieniu.

Wynik: Kiedy młody Gussie Kusevic próbował zapisać się do szkoły średniej, okazało się, że przedtem nie uczęszczał do podstawówki. Mimo że mógł wymienić nazwiska nauczycieli, podręczniki czy numery klas. Mimo że mógł przedstawić świadectwa. Wkładano je do złych teczek, a uciążliwe rozmowy egzaminacyjne szły w zapomnienie. Nikt nie wątpił w jego istnienie; ludzie pamiętali fakt, że był, że coś robił, że z nim coś robiono, ale tylko tak jakby czytali o tym w jakiejś potwornie nudnej książce.

Nie miał przyjaciół, dziewczyny; nie znał przeszłości, chwili obecnej, miłości. Nie miał swojego miejsca. Może jakiegoś kumpla znalazłby pośród duchów, gdyby istniały.

Kiedy wkroczył w wiek młodzieńczy, stwierdził, że absolutnie nic go nie łączy z gatunkiem ludzkim. Zajmował się nim, ponieważ stanowił widoczny element jego środowiska. Nie współżył z nim. Ludzie nie byli w stanie dać mu niczego, co miałoby dla niego jakąś wartość. Ich

motywacje, moralność, zachowanie nie wywoływały w nim najmniejszej reakcji. I oczywiście to, co on reprezentował, na nich nie robiło absolutnie żadnego wrażenia.

Życie chłopca w starożytnej Babilonii interesuje zaledwie kilku historyków antropologów, z których żaden faktycznie nie chciałby tym chłopcem być.

Kiedy dzięki swej beznamiętnej postawie ustalił wzór dla ludzkiej społeczności i nie traktował tego z większym przejęciem niż przyrodnik, który odkrywa, że jelenie wyjątkowo lubią zielone liście osiki, postanowił się wyżyć fizycznie. Odkrył dreszcz emocji w prowokowaniu bójek i zwycięstwach, w zmuszaniu ludzi, by zwracali na niego uwagę, kiedy im rozkwasał nos.

Zostałby może stałym bywalcem doków Manhattanu, gdyby inny robotnik portowy nie przejechał go nożem do cięcia kartonów. Reguły gry były jasne. Musiał go zabić.

I to był koniec toczonych dziko bijatyk. Odkrył, nie tyle z przerażeniem, co z niesmakiem, że morderstwo może mu ująć na sucho. Nie było żadnego dochodzenia; nikt nawet nie próbował go szukać.

Taki był więc koniec, który doprowadził go jednak do wyrwania się w jedyny możliwy sposób z pułapki, w jakiej się znalazł. W sytuacji, gdy rywalizacja intelektualna nie wchodziła w grę, pozostawało uprawianie sportu. Wyczyny sportowe, ukierunkowujące jego energię i odnotowywane w stercie wycinków prasowych, utworzyły pierwszą w jego życiu ciągłość. Ludzie nadal zapominali o jego osiągnięciach, lecz kiedy zaglądali do tabel wyników, jego imię było tam czarno na białym. Akta można przełożyć do innej teczki. Świadczenia szkolne mogą zniknąć. Ale pole tłumienia nie wystarczy, by zamknąć w szufladach stertę gazet czy listy wyników, które przeciętny nawet sportowiec ciągnie za sobą jak kulę u nogi.

Gusowi zdawało się — i wiele się nad tym zastanawiał — że w przypadku męskiego przedstawiciela jego gatunku taki rozwój osobniczy jest czymś oczywistym. Kiedy trzy lata temu odkrył Halseya, znalazł potwierdzenie swojej hipotezy. Ale jaki pożytek może mieć z Halseya inny męski osobnik? Żeby się jakoś wzajemnie pocieszać? Nie miał najmniejszego zamiaru się z nim kontaktować.



Urzędnik chrząknął. Zaskoczony Gus gwałtownie obrócił się w jego kierunku. Zapomniał o nim.

— Chyba już pójdę. Proszę pamiętać — ma pan tylko dwa miesiące.

Gus wykonał jakiś nieokreślony gest. Facet dostarczył to pismo. Czemu nie uzna więc, że spełnił swoje zadanie, i już sobie nie pójdzie?

Uśmiechnął się ponuro. A jakież zadanie mógł mieć Homo nondescriptus, dokąd właściwie zmierzał? Halsey schodził już ze wzgórką po wyznaczonej trasie. Czy byli inni? Jeśli tak, musieli znajdować się gdzieś obok, w następnej kolejnie, i nie było widać nawet czubków ich głów. Istoty jego gatunku mogły się nawzajem rozpoznać jedynie drogą szczegółowej eliminacji — musiały szukać tych, których nikt nie zauważa.

Otworzył urzędnikowi drzwi, zobaczył drogę i jego myśli znów powróciły do autostrady.

Będzie biegła od Hallister, węzła kolejowego, do bazy lotniczej w Farnham; tam właśnie, według jego dużo wcześniejszych obliczeń socjomatematycznych, miał zostać skonstruowany i wystrzelony pierwszy statek międzygwiazdny. Ciężarówki będą dudnić po autostradzie wrzucając w paszczę molocha ludzi i budulec.

Zwilżył wargi. Gdzieś tam, w Kosmosie, gdzieś poza Układem Słonecznym żyje inna rasa. Ślady jej bytności tutaj są aż nadto wyraźne. Ludzie mieli się z nią zmierzyć i znów potrafił przewidzieć wynik: ludzie wygrają.

Gus nie mógł odpowiedzieć na wyzwanie, które niewątpliwie kryło się pośród gwiazd. Kariera Kusevica nie docierała do świadomości kibiców, mimo że jemu udało się wypełnić całe skoroszyty notatkami i wycinkami. Halsey, który spokojnie pobił wszelkie rekordy w baseballu, znany był jako „niezły miotacz ligi krajowej”.

Jakimi referencjami mógłby poprzeć swoje podanie o przyjęcie do lotnictwa? Nawet gdyby je znalazł, czy ktoś by o nich pamiętał następnego dnia? Jak wyglądałby rejestr jego szczepień, kontroli lekarskich, szkoleń? Kto pamiętałby o tym, żeby zarezerwować dla niego koję, załadować zapasy, uwzględnić jego osobę przy planowaniu rezerwy tlenu?

Na gapę? Nic łatwiejszego. Ale kto miałby umrzeć, aby w ścisłym harmonogramie przydziałów zmieścił się on? Którą



owcę trzeba by wydać na rzeź, i wreszcie ostatnie pytanie — w jakim pożytecznym celu?

— A więc do zobaczenia — rzucił urzędnik.

— Do widzenia — odpowiedział.

Urzędnik ruszył chodnikiem w kierunku wiroplątu.

Wydaje mi się, skomentował Gus w duchu, że dużo lepiej byłoby dla nas, gdyby ewolucja, miast chronić, więcej się o nas troszczyła. Pogrom od czasu do czasu nie zrobiłby nam nic złego. Getto zaś przynajmniej rozwiązuje problem kojarzenia par.

Nasze ziarno padło na ziemię kamienistą.

Nagle Gus, pchnięty myślą, której nie starał się nawet nazwać, rzucił się przed siebie. Zajrzał przez uchylone drzwiczki wiroplątu, a urzędnik spojrzął na niego zalękniony.

— Jesteś kibicem sportowym — rzucił Gus pośpiesznie, uświadamiając sobie, że jego głos brzmi zbyt natarczywie, że urzędnika przeraża jego siła.

— Zgadza się — odpowiedział tamten prostując się nerwowo na siedzeniu.

— Kto jest mistrzem świata w wadze ciężkiej?

— Mike Frazier. A co?

— Z kim wygrał walkę o tytuł? Kto był przed nim?

Urzędnik zacisnął usta.

— Hm, to już tyle lat temu. Nie pamiętam. Ale mógłbym to chyba sprawdzić.

Gus ochłonał powoli. Odwrócił się bokiem i popatrzył na domek, trawnik, klomby, ścieżkę, krzew róży, sadzawkę pod wierzbą...

— Nieważne — rzucił i ruszył w kierunku domu, a wiropląt wzleciał kołyszając się niepewnie.

Telewizor huczał. Gus sprawdził stan meczu.

Poszło szybko. Halsey miał jak na razie jedną bombę, a miotacz Gigantów spisał się prawie równie dobrze. Był remis 1:1, ostatnia zmiana w dziewiątej rundzie, Giganci byli w obronie. Kamera zjechała na twarz Halseya.

Halsey popatrzył na odbijającego bez cienia zainteresowania, obrócił się i rzucił końcową piłkę.

**KONIEC**